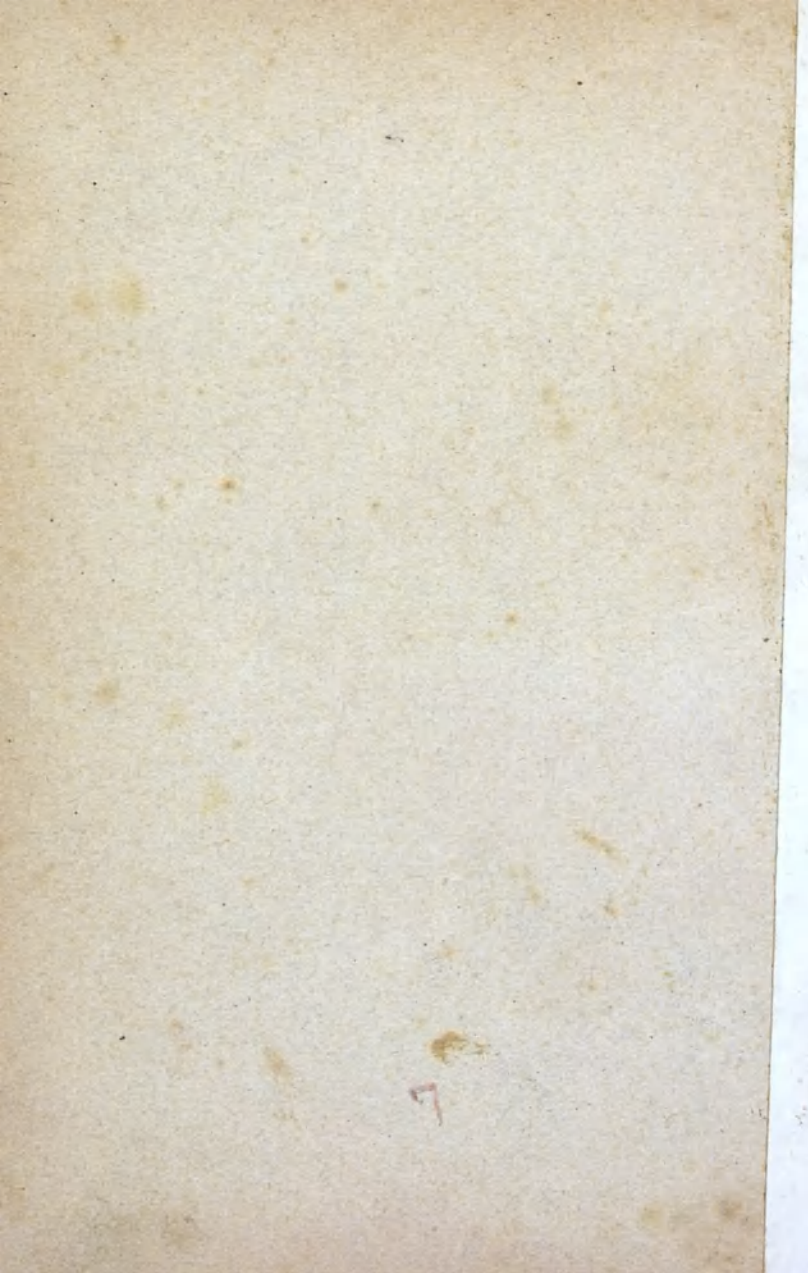




ŚWIAT OBIECANY



Amela Kwongut

A. KALLAS

ŚWIAT OBIECANY

POWIEŚĆ

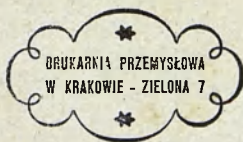
KRAKÓW — WARSZAWA

WYDAWNICTWO „PANTEON”

KRAKÓW, KSIĘGARNIA POWSZECHNA

Lp 4d

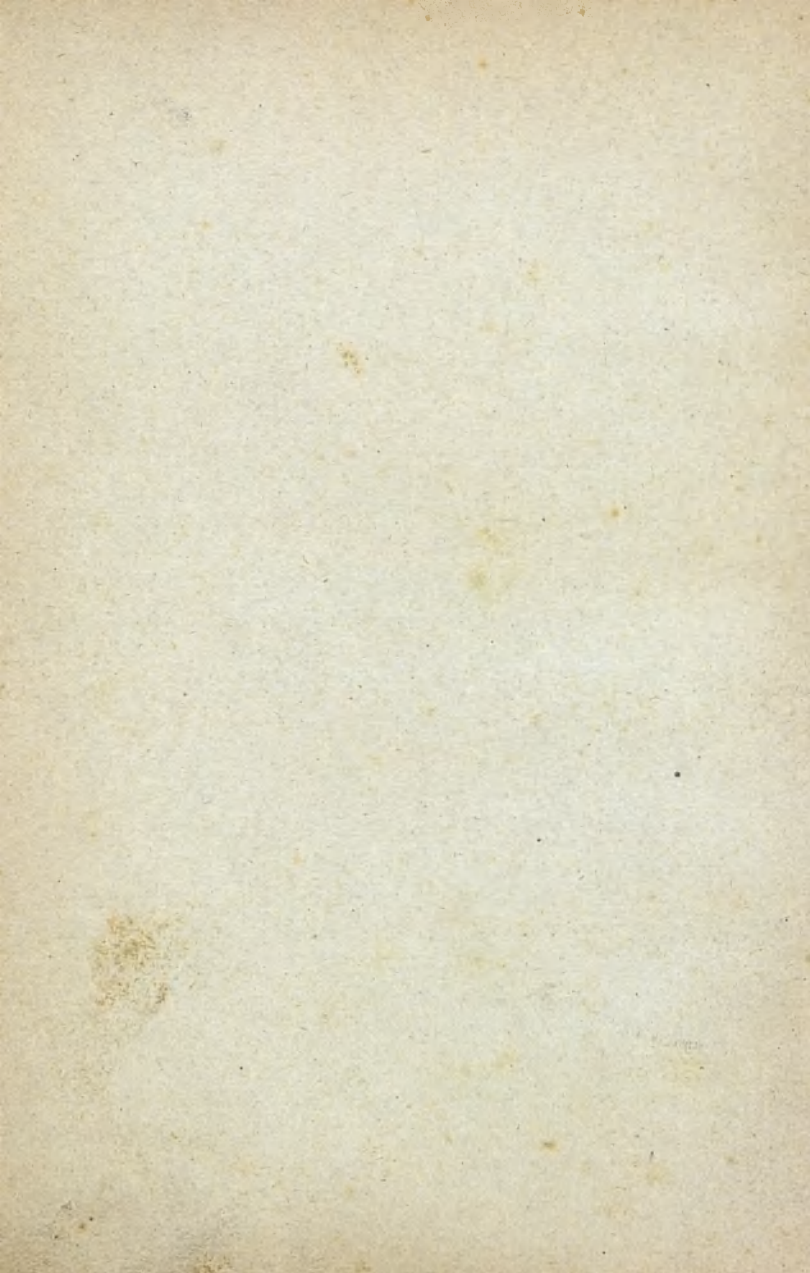
454407 I



K-85/2534
18.4. 7005



KLAMSTWO



Napisała do Zawilskiego. Wydawało jej się to łatwiejsze. Nie miała odwagi powiedzieć, że zrywa z nim stanowczo.

Teraz ma pewne wątpliwości, czy postąpiła właściwie.

Próbuje uprzytomnić sobie uśmiech, z jakim Zawilski podjął z biurka jej list.

Zapytał:

„Cóż to jest takiego, o czym nie chce pani ze mną mówić“?

Zanim mogła cośkolwiek odpowiedzieć, wszedł Korecki, reporter „Echa“. Zgłaszał się po interwiew z okazji wystawienia nowej opery Zawilskiego.

List nieczytany powędrował do teki.

Zawilski powiedział: „Pani przyjdzie jutro o zwykłej porze, jak zawsze dotychczas“.

Wyrzeczone to zostało oficjalnie, w obecności Koreckiego. Przy prezentacji powiedział:

„Moja dzielna współpracowniczka“.

Chciała wtrącić: „Jestem tutaj tylko sekretarką“, ale odczuła równocześnie wstyd; była przecie kochanką Zawilskiego.

Korecki przypatrywał jej się beczelnie. Przypominał, że kiedy jeszcze wydawał własny dziennik, przysłała do niego prosić o posadę korektorki.

„To było przed pięciu laty” — uzupełnił złośliwie.

I zapytał w tonie, który wydawał jej się wprost obraźliwym:

„Czemże zajmowała się pani do tego czasu?”

Zawilski niby przyszedł jej z sukursem i wmieszał się do rozmowy.

„Niech pani będzie grzeczną dla redaktora Koreckiego. To pan bardzo wpływowy” — rzekł.

Usiłowała być jak najbardziej uprzejmą. „Zagłopowała się nawet” i prosiła Koreckiego o protekcję w wydawnictwie, w którym pracował. Gotowa była przyjąć najpodrzedniejsze miejsce w administracji „Echa”.

Zawilski szydził zapewne, mówiąc o wpływach Koreckiego, ona zaś traktowała sprawę zbyt serjo.

I oto znowu, jak codziennie, od tyłu już miesięcy, wchodzi do wspaniale urządzonej pracowni Zawilskiego, a zdawało jej się przecie, że już tu nigdy nie powróci.

Usiadła przy stole na „swojem” miejscu. Zastała tam już paczkę listów, a obok, na tabliczce, wypisany był cały szereg dyspozycji.

Zabrała się do pisania i nie zauważyła, że wszedł Zawilski. Dopiero, gdy nachylił się nad nią i chciał pocałować, zerwała się gwałtownie z miejsca, czyniwszy ruch taki, jakby go chciała odtrącić.

Teraz stali naprzeciw siebie i mierzyli się spojrzeniami.

On okazały, piękny, wytworny; w ciemnych oczach miał błyski ironji, na kształtnych ustach błdził subtelny uśmiech. Przypatrywał się jej starannie

uczesanej głowie, jakby z wystawy fryzjerskiej; okiem znawcy objął potem jej zgrabną kibić i wdzięczną linię postaci aż do elegancko obutych nóg; zmrużył oczy i zażartował:

— A cóż, nerwy? Czy uspokoiła się już pani?

Zignorowała pytanie i rzekła drżącym głosem:

— Chciałabym pomówić z panem.

— Proszę!

Wskazał jej krzesło i sam usiadł.

— Siadaj! — powtórzył, widząc, że jeszcze stoi.

Zajęła wskazane miejsce.

Ładna jej twarz o regularnych rysach, otoczona puklami jasnych, złocistych włosów, bladła coraz bardziej.

— Prosiłam o zwolnienie z obowiązków sekretarki — zaczęła.

Pozornie bardzo zajęty zapalaniem papierosa, odparł po namyśle:

— Tak...! A mnie wypada przeprosić, że nie odpowiedziałem na list. Nie było to uprzejmie. Lecz wolę przyznać odrazu, że wprowadziłaś mnie tym listem w sytuację, z której nie wiem, jak wybrnąć.

Uśmiechał się z żartobliwą ironją i z tym uśmiechem w oczach spojrzał jej w oczy.

— Może porozumiemy się jednak?...

— Nie..., nie!... Ja muszę stąd odejść!...

— Jesteś zdenerwowana...

Strzepnął popiół z papierosa do popielniczki, którą przysunął bliżej i dodał:

— Kto wie, może lepiej tak będzie, jeśli zmienisz otoczenie. Zauważyłem to zresztą, że od pewnego cza-

su wszystko cię tutaj drażni... A więc... dymisja przyjęta.

— Dziękuję panu — odparła twardo.

— Przechodzi pani w stan spoczynku na własne żądanie; lecz zatrzymuję w charakterze przyjaciółki.

Zachnęła się. Niebieskie oczy pociemniały i zaświeciły złowrogo. Po banalnie ładnej twarzy spłynął rumieniec.

— Przepraszam pana... To już skończona rzecz! Nie kochał mnie pan!...

— O tem wiedzieć nie możesz... A więc?... Prosimy się, co?

— Nie! Chcę żyć inaczej!... Lepiej!... Piękniej!...

— Żądanie słuszne. Chętnie ofiarowałbym willę za miastem, własne auto, stosowną rentę roczną, brylanty... Lecz nie jestem milionerem, tylko artystą.

— Sądzi pan, że to mię nęci! Willa, auto i roczna renta!

— Drobnostki nie do pogardzenia...

— Chcę zerwać...

Głos jej się załamał, była istotnie silnie zdenerwowana. Dokończyła zduszonym już szeptem:

— Upokarza mnie ten stosunek.

— Ze mną? — zapytał, marszcząc brwi.

— Pan mnie nigdy nie kochał — rzuciła raz jeszcze, jakby wyzwanie.

Uśmiechnął się znowu, wbrew woli.

— Skądże ci to przyszło na myśl zastanawiać się nad tem teraz, po tylu miesiącach?

Chciała odpowiedzieć, lecz wydarzyło się coś najmniej oczekiwanego, co przerwało dalsze wynurzenia.

Przyniesiono list *express* i należało zaraz odpisać. Zawilski podał jej pewne wytyczne, a potem pospieszył przywitać deputację, którą właśnie oznajmił służący.

Deputacja prosiła „czcigodnego mistrza” o współudział w koncercie na kolonie wakacyjne.

Po odejściu zaś delegacji i wyekspedjowaniu listu, do pracowni wbiegł Miecio, pięcioletni synek Zawilskiego. Przyniósł tatusiowi bukiet, fioletów i prosił, aby tatuś poszedł do jadalni, bo... „mamusia czeka z drugim śniadaniem”.

Zawilski wyszedł z pracowni, trzymając Miecia za rączkę.

Na odchodnym rzekł niedbale, już przy drzwiach:

— Wrócę zaraz.

Lecz upłynął kwadrans, potem pół godziny, Zawilski nie wracał.

Ktoś zadzwonił do mieszkania i służący poszedł otworzyć.

Helena zaczęła nadśłuchiwać.

Usłyszała głos siostry w przedpokoju, ale nie była jeszcze pewna, czy się nie myli.

— Pani Wyrwiczowa — zameldował lokaj.

Do pokoju weszła pretensjonalnie wystrojona brunetka, której wiek był tak samo nieokreślony, jak jej uroda. Przypominała podstarzałą aktorkę prowincjonalną.

— Ach, zastałam cię Helenko!

Helena zmierzyła ją niechętnym spojrzeniem.

— Po coś przyszła? — zapytała szorstko, gdy po wyjściu służącego zostały same.

— Chciałam się dowiedzieć, co porabiasz. Wiedziałam, że o tej porze zastanę cię tutaj. Wprawdzie zerwałaś z nami, ale co krew, to nie woda. Do Przesławskiej iść nie chciałam. Dość nad tem boleję, żeś się do niej sprowadziła...

— Nie mogę z wami mieszkać! To już skończona rzecz! — przerwała Helena.

— A czy ja ciebie krępowałam w czemkolwiek, albo mój mąż, czy moje dzieci?

— Nie mówmy o tem! Czego sobie życzysz?

— Jestem twoją opiekunką i...

Nagle umilkła. Za drzwiami odezwał się głos Zawilskiego. Wyprowadzał gości z salonu.

— Nie chcę, żebyś się mieszała w moje sprawy... Odejdź! — rzekła Helena.

— Uspokój się, Heluś! Ja cię nie potępiam — zawołała Wyrwiczowa i teatralnym gestem sięgnęła po chusteczkę, którą ostrożnie przytknęła do oczu, spoglądając nieznacznie w stronę drzwi. Zobaczyła wchodzącego Zawilskiego i odrazu zwracając się do niego, kończyła: — Ja bym się tu nie wtrącała, panie profesorze... Lecz uważam...

— Co takiego? — spytał Zawilski, orjentując się szybko w sytuacji.

Znał Wyrwiczową; wiedział, czego się może spodziewać po tej kobiecie, która dwa tygodnie temu naciągnęła go na większą sumę pod pretekstem spłacenia pilnej raty wekslowej, przyczem prosiła o dyskrecję przed Heleną.

Spojrzenie jego z wyraźną niechęcią spoczęło na Wyrwiczowej.

Zwrócił się do Heleny:

— Czy upoważniła pani siostrę do wystąpienia z jakimiś pretensjami?

Znać było, że jest mocno poirytowany.

Helena nie rozumiała w pierwszej chwili o co chodzi. Ale w spojrzeniu Zawilskiego i w akcencie słów jego odczuła obelgę.

— Czego wy chcecie?... Czego wy ode mnie chcecie? — wykrztusiła z trudem.

— Ach, tak!... Pani nie wie...! — rzekł Zawilski nie bez ironji.

Zrozumiał to w ten sposób, że Wyrwiczowa stereoryzowała siostrę, a Helena zdała na nią załatwienie ostatniego aktu ich rozstania.

Postanowił wszakże zignorować Wyrwiczową i znów zwrócił się do Heleny:

— Panią zapytuję, czy mam to uważać za wymuszenie?

Zachnęła się gwałtownie na te słowa. Nie miała na tyle śmiałości rasowej, by się rzucić na Zawilskiego i wymierzyć mu policzek, więc przyskoczyła do siostry i szarpiąc ją w histerycznym wybuchu złości, krzyczała:

— Ty podła! Ty!... Żądałaś zapłaty za mnie...

Była to dla Zawilskiego arcyprzykra scena, zwłaszcza, że w otwartych drzwiach, prowadzących do sąsiedniego pokoju, stała żona.

— Mój drogi, zechciej, proszę, takie sprawy załatwiać poza domem, a nie sprowadzaj mi tu rajfurek, ani dziewczek! — usłyszał.

Helena, z głową ukrytą w poduszkach kanapy, zanosila się od płaczu.

Pewnego dnia Wyrwiczowa odwiedziła Helenę.

— Co krew, to nie woda! — rzekła na wstępie. — Siostrą mi jesteś. Przyszłam się dowiedzieć, jak ci się powodzi.

Potem rzuciła jakby od niechcenia:

— Zawilski dopytywał się o ciebie.

Jak bolesne ukąszenie gadu odczuła Helena te słowa. Zatrząśł nią gniew, którego poskromić nie umiała.

— Co?! Tyś jeszcze z nim rozmawiała po tem wszystkim, co zaszło?

— To on nas odwiedził.

— Nie kłam! Chodziłaś do niego!...

— Niech i tak będzie! Poszłam oddać ratę na dług.

— I u niego więc pożyczłaś!...

— Tyś naprawdę głupia!... Nie dałabym rady, gdyby nie kredyt u znajomych. Z pensji mężowskiej nie wyżyję.

— Czy Zawilski, to twój znajomy?

— Bywał u nas, gdyś jeszcze mieszkała z nami. Nie zrywam, bo to dobrze mieć stosunki wśród wpływowych osobistości. A przekonałam się, że to jednak dobry i uczynny człowiek. Co zaś najważniejsze w tej chwili, to to, że on za tobą szaleje. Więc gdybyś tylko miała rozum...

— Już teraz otwarcie rajfurzysz!

— Ej! Nie kłósz! To za moje dobre serce, żem cię, jak matka, od maleńka wychowała!...

— Mogłaś oddać do podrzutków!

— Gdybym była wiedziała, że tak mi się odwiedzisz, to kto wie!

— Myślałaś, że się sprzedam, a ty ciągnąć będziesz zyski, dopóki się da!

— Ej, Hela, bo się naprawdę obrażę! Ano! Masz do mnie urazę o to, że wywołałam skandal w mieszkaniu Zawilskiego. Nic nie szkodzi! On teraz przyznaje, że zawinił. Pragnie cię też przeprosić.

— Nie chcę go widzieć! Nienawidzę go!

— Tak ci się tylko zdaje! Gdybyś go zobaczyła, gdyby przemówił, jużbyś nie pamiętała urazy. Słuchaj!... Zawilski dał mi do zrozumienia, że nawiązałyby z tobą na nowo.

— Nigdy!... Nigdy!

— No, to wiesz, co ci powiem? Byłaś, jesteś i pozostaniesz głupią gąską! Pamiętasz Manię Łazowską? Zaszkodziło jej to, że była utrzymanką adwokata Rosińskiego? Teraz kamienicę dwupiętrową jej zostawił... Kobieta w powozie się rozpiera, brylantami świeci, na komitetową wszędzie ją zapraszają... Tak widzisz! Jeśli się tak daleko zaszło, trzeba się jednego mężczyzny trzymać!... A ty wypuściłaś Zawilskiego z ręki, gdy ten niedorajda Szeligiewicz, kto wie, czy się da złapać! No, widzisz!... Poczerwieniałaś! Wiem, co mówię! Zerwałaś z Zawilskim, bo myślisz, że Szeligiewicz się z tobą ożeni. Ale przekonasz się, że nic z tego. Znam się na takich! Nadęty młokos! Jakby już w całej Polsce większego od niego poety nie było! A raptem jedną dopiero książkę napisał i to takie wiersze, co to ani porządnie się nie rymują, ani w nich sensu żadnego... No i z czegoż się śmiesz?

— Z twojej głupoty! Mówisz o rzeczach, na których się nie znasz i ośmieszasz tylko siebie!

— No, być może, że się na tej modnej, futurystycznej literaturze nie rozumiem. Ale znam takich Szeligiewiczów! Oni wcale nie myślą o żeniaczce. Chcą mieć kobietę, któraby ich nie kosztowała...

— Przestań! — krzyknęła Helena.

Ale Wyrwiczowa nie dała jeszcze za wygraną.

— Mówię do ciebie, jak siostra i jak opiekunka. Znam mężczyzn. Jeśli już masz zostać czyjąś kochanką, to nie takiego biedaka. Możesz wybierać, boś ładna i młoda.

— O, jakaś ty podła!... Jakaś ty podła!

— A ty jesteś idjotka!

Rozmowa zaczynała przybierać ton coraz przykrzejszy; rosło rozdrażnienie obu kobiet. Byłyby sobie powiedziały teraz najgorsze obelgi.

Zapukano do drzwi i weszła Przesławska.

— Oho! Familja czuwa, jak widzę!

— Spodziewam się! — odparła Wyrwiczowa. — Teraz, skoro Helena została prawie bez żadnych dochodów, uważam za swój obowiązek zająć się nią.

Przesławska zwróciła się do Heleny.

— Czy udawałaś się niewiasto o pomoc do familji?

— Ja?... Nie!... Nigdybym tego nie uczyniła.

— To się chwali. A zatem... czegoż sobie familja życzy?

Wyrwiczowa czuła się niebardzo swobodną w obecności Przesławskiej. To też prędko zaczęła się żegnać, mówiąc jeszcze na odchodnem:

— Co krew, to nie woda! Przyszłam, jak siostra do siostry. Pamiętaj Heluś, że każdej chwili możesz do mnie wrócić.

Po jej odejściu Przysławska podsunęła Helenie papierośnicę.

— Zaciągnij się dymem; ja zrobię to samo. Jeśli jeszcze wirują tu w powietrzu ohydne słowa, to je wykurzymy.

Po chwili zaczęła:

— Ani nie zgadniecie, skąd wracam...

— Przypuszczalnie z Powiśla.

— Otóż nie zgadłaś, niewiasto, bo z knajpki. Gwarzyliśmy tam z Szeligiewiczem ciągle na ton minorowy, jakby ktoś za ścianą przygrywał na szpinecie menuet z „Don Żuana”. I czego ten Szeligiewicz tak się w tobie zadurzył?... Niech was nie znam, jak wy tych mężczyzn łapać umiecie! Poszłabym do was na naukę, ale mi już włosy siwieć zaczynają...

— Cóż wam mówił Szeligiewicz? — zapytała Helena, usiłując opanować drżenie głosu.

— Ano!... Żle się stało! Szeligiewicz w najmniej właściwy sposób poinformowany został o waszym stosunku z Zawilskim.

— Kto mu powiedział? — zawołała Helena blednąc.

— Jego stryjenka, generałowa Szeligiewiczowa.

— Skądże ona?...

— Za pośrednictwem teściowej Zawilskiego. To przyjaciółki. Możecie sobie wyobrazić jakiego bigosu narobiły te dwie niewiasty.

— Straszne!

— Niewesołe! No, źle się stało, ale do rozpaczyny nie ma jeszcze powodu. Hm!... Jak wy, Heleno, ładnie umiecie płakać. Ta, nawet będzie umierała estetycznie!... Zapalcie drugiego papierosa!... Tak... Ja, o ile

znam ludzi, pewna jestem, że Szeligiewicz strawi jednak ten bigos i będzie tu znowu przychodził. Ahai... Wicie... dziwne to, że generałowa Szeligiewiczowa nie przysłała jeszcze honorarjum za sześć tygodni naprzód wraz z bilecikiem: „Zwalniam z obowiązków lektorki, bo wyjeżdżam”... Możecie być pewna, że to nastąpi.

— Czy Szeligiewicz mówił o tem także?

— Cóż znowu! Przypuszczam, że nie wspomina przed stryjenką o znajomości z wami.

— Jednak Szeligiewicz wprowadził mnie do jej domu.

— No, to było trochę inaczej! Generałowa Szeligiewiczowa poleciła mu podać anons do gazety. Szukała lektorki...

— Tak... I poszłam do niej, polecona przez redakcję tego dziennika.

— Otóż widzicie!

— Macie słusność, Marjo! Zapewne nie przyznał się do znajomości ze mną.

— Prawdopodobnie! Ale Szeligiewicz was kocha. Czy się ożeni, wątpię. Zresztą... da się to widzieć. Zapalcie jeszcze papierosa. Głowa do góry! Szeligiewicz przyleci tu za wami. Znam to!

— Wy, Marjo?

— A cóż myślicie, że ja nie miałam swojej przeszłości? Ale w społecznej robocie strasznie zawadzało mi to zaczynało, że się mężczyznom podobałam. Zrobiłam więc ze siebie czupiradło i facety odczepili się ode mnie.

— Ja bym zaś nie zrobiła ze siebie „czupiradła”.

— O, to się widzi! Pielęgnujecie tę waszą uro-

dę!... Kolońska woda, puder i jakieś słoiki mikstur na tej półeczce nad umywalnią. Niby gotownia elegantki. Estetka! Niedarmo mężczyźni na was lecą... Aha... Cóż, tamten stary donżuan, Korecki?... Dopytywał się o was. Był już tutaj dwa razy, ale was nie zastał. Niepotrzebnie wdepnęłaś, niewiasto, w to błoto. Pocóż było prosić tego durnia o protekcję?...

— Sam się narzucił.

— Radzę nie wdawać się z nim i tak się urządzić, by się nie przyczepił, bo on to potrafi. Pozbyć się go potem byłoby już trudniej. I cóż, chcecie jeszcze papierosa?...

— Dziękuję! Już dosyć.

— No, to w takim razie zróbcie herbatę. Na niezdrowe marzenia wam nie pozwolę. Musicie zahartować duszę.

— Spróbuję — szepnęła Helena i wybiegła prędko do kuchni, by Przesławska nie dostrzegła, że oczy ma pełne łez.

* * *

Generałowa Szeligiewiczowa nadesłała nazajutrz przekazem honorarjum za dwa miesiące. Na przekazie dopisane były słowa:

Przykro mi, ale nie mogę pani więcej widywać u siebie.

Helena nie przyjęła nadesłanych pieniędzy. Na otrzymanym przekazie napisała *retour* i przekaz ten wręczyła z powrotem listonoszowi.

Poszła następnie do biura ogłoszeń, przejrzała wszystkie anonse w gazecie reklamowej, wkońcu uda-

ła się do jednej i drugiej przełożonej prywatnych zakładów wychowawczych.

Rezultatem tych wędrówek było kilka niewiele mówiących przyrzeczeń.

Postanowiła więc, że napisze ofertę do Zarządu szkoły gospodarstwa wiejskiego w Żelaznej Woli.

Ogarnęło ją dziwne podniecenie.

Przypomniały jej się czasy guwernerki na wsi, u Świejkowskich. Razu jednego, matka pani Świejkowskiej pokazała jej album córki. Wpisywali się do tego „albumu” przygodni znajomi i przyjaciółki lat dziewczęcych, potem przyjaciele domu, wreszcie krewni. Zaczęła jej opowiadać o przeszłości, która w tych wspomnieniach, na widok pożółkłych kart pamiętnika, jawiła się Helenie, jakby na urągowisko.

Piękne i czyste wspomnienia...

Ona takich wspomnień nie miała.

Kiedy po śmierci rodziców, Wyrwiczowa wzięła ją do siebie, liczyła zaledwie lat osiem; ale zrozumiała wszystko, gdy ta mówiła do niej: „Nieszczęśliwe! Ty i ja! Obieśmy niewiele dobrego zaznały w życiu. Zawsze karku zginać było trzeba”.

A gdy dorosłą już była dziewczyną i zaczęła uczęszczać na kursy nauczycielskie, Wyrwiczowa mawiała:

„Ucz się pilnie, żebyś miała własny kawałek chleba i nie była zależna od pierwszego, lepszego idjoty, który ci się trafi, jak to było ze mną”.

Małe niedole małżeńskie, spostrzegane w domu siostry, jak najgorzej usposobiły ją do instytucji małżeństwa.

Po uzyskaniu dyplomu, otrzymała posadę

u Świejkowskich. Zatarły się wrażenia i wpływy, wyniesione z domu siostry. Nowe otoczenie, w jakie weszła, wydało jej się oazą po przebytej pustyni. I nie przyszło jej z początku na myśl, że jest społecznie upośledzoną. Odczuła owszem zadowolenie, że zmęczona i biedna, znalazła ostoję wśród ludzi szczęśliwych i bogatych.

Dopiero od owej chwili, kiedy porównać jej przyszło ze swą młodością, młodość dziewczyny, chowanej pod okiem troskliwej, rozumnej matki i w szczęśliwych warunkach, uderzyło w nią, jak obuchem, poczucie krzywdy.

Wróciła do miasta, gnana tęsknotą użycia. Przyjęła posadę sekretarki u Zawilskiego, a w miesiąc później oddała mu się.

Może byłaby nawet upadała coraz niżej, gdyby nie miłość Szeligiewicza.

Poznała go u Przesławskiej. Pierwsze spotkanie było dość komiczne.

Przyszedł, nie spodziewając się tutaj obcej sublokatorki. Rozmawiali chwilę w przedpokoju. Nie dał się odprawić. Oświadczył wkońcu, że zaczeka, aż Przesławska wróci. Musiała go więc przyjąć i bawić rozmową. Znała jego wiersze. Tematu do rozmowy dostarczyły nowe kierunki w literaturze i sztuce.

Przychodził odtąd coraz częściej. Przynosił jej książki do czytania i bilety do teatru. Raz, wśród wspólnego czytania, jakoś dziwnie po studencku wyznał, że ją kocha.

Szarpnął nią teraz ból dotkliwy.

Przypływają inne wspomnienia... Usiłuje je odtrącić, ale wracają.

Wróciło przedewszystkiem wspomnienie obelgi, jaką zniosła w domu Zawilskiego.

Jeśli Szeligiewicz wie o tem, nie pozostaje jej nic innego, jak ucieczka.

Powinna wyjechać z Warszawy.

I nie jest że to dziwne, że przypomniała sobie nagle o Świejkowskich?

Napisze do nich i poprosi o poparcie oferty, którą dziś jeszcze wyszła do Zarządu szkoły gospodarstwa wiejskiego w Żelaznej Woli.

Zagrzebie się an wsi. Pracować będzie aż do utraty tchu, a może zapomni, o czem zapomnieć trzeba, by żyć.

Właśnie tylko po to, by móc dalej żyć. Wprawdzie było i tak, że myślała o samobójstwie, lecz teraz już nie chce umierać. Boi się śmierci.

Życie jest ciężkie, wie o tem, lecz kryje w sobie zadziwiające możliwości, przekonała się i o tem także. Zatem jest możliwość, że Szeligiewicz sprawiedliwie ją kiedyś osądzi i zejda się znowu, jak przyjaciele.

Dźwignęła się. Cierpi, ale czuje, że się dźwignęła. Po dniach męki przyszło przeświadczenie, że trzeba z życiem wziąć się za bary.

Zaczęła pisać ofertę, gdy weszła usługująca, oznajmiając, że jakiś pan chce się z nią widzieć.

Ktoś zapukał i wszedł.

Zerwała się gwałtownie z miejsca, zobaczyła bowiem w drzwiach Zawilskiego.

Wszedł z zarzutce; w urękawiczonej dłoni trzymał kapelusz.

— Przeszedłem przez jakieś mroczne czelu-

ście — zaczął. — Nie wiem, co za Dulcynea otwierała mi drzwi do tego raju...

Usługująca spojrzała na niego nieufnie i wysunęła się prędko z pokoju.

— Czy nie zechcesz przywitać się ze mną? — podjął po wyjściu „Dulcynei”.

— Po co pan przyszedł?... Po co? — zawołała Helena z trwogą, a serce jej biło przytem coraz gwałtowniej.

— Widzę, żeś mocno zagniewana. Ale wykreślimy owe niefortunne intermezzo, a... mam nadzieję, że dojdzie między nami do porozumienia — rzekł z ujmującym uśmiechem.

— Nigdy!

Odsunęła się pod okno.

— Proszę się nie zbliżać — zawołała, dostrzegłszy, jak z wyciągniętymi ramionami posuwał się w jej stronę.

Zmarszczył brwi, lecz nie przestawał się uśmiechać; czynił to przez pół drwiąco, z wypróbowaną już kokieterją pięknego mężczyzny, przyzwyczajonego do zwycięstw donżuana.

— Cóż za oschłość w tonie i gwałtowność gestu — zaczął z tkliwą w głosie wymówką. — A tak zawsze była estetyczna w linji i w geście... Taka aksamitna, pluszowa, subtelna... Sądzę, że się jednak porozumiemy.

Wyciągnął znowu ramiona.

— Nie!

— Czemu?

Był tak pewny zwycięstwa, że to jej „nie” uważał tylko za pewnego rodzaju zalotność.

A ona w tej chwili krytykowała każdy ruch jego. I to zmaćcone spojrzenie, w którym czała się lubieżność... I głos, chrypiący w tłumionem pożądaniu. Nie bez zdumienia wsłuchiwała się także w tentno własnej krwi i w poszum myśli, które niewiadomo skąd napływały ku niej natrętnym rojem. Aż wreszcie uświadomiła sobie, że ten człowiek nie jest już dla niej niczem więcej, jak przykrem wspomnieniem, od którego pragnęłaby się oddalić.

W przeświadczeniu tem, prawie radosnem, rzuciła:

— Już niema pan władzy nade mną. Wyzwoliłam się. I wszystko, co mówicie o upadku kobiety, to kłamstwo, jeśli tyle w niej potęgi woli, że potrafi się dźwignąć.

Rozśmieszyła go tą niespodziewaną, naiwną egzaltacją. Więc też wracając do nawpół drwiącej, a przez pół pieśczośliwej gry słów, rzekł, usiłując zdobyć ją sobie na nowo.

— Jest to także i moje przekonanie, że kobieta czuje się znacznie silniejszą po upadku. Z przyjemnością też stwierdzam, że wolę tak, byś przezwyciężyła wszystkie przykrości. Spuszczamy zasłonę na to, co minęło. Dziś stanie między nami nowy układ. Nie będziemy mówili o miłości. To byłoby arcynudne pozostawać ciągle w charakterze trubadura i za każdym razem walczyć o to, aż dama serca odepnie szarfę. Odniosłaś triumf. Krążyłem w pobliżu, jak zakochany student. A teraz należy mi się nagroda...

— Proszę się nie zbliżać! — zawołała, usuwając się w przeciwny kąt pokoju.

Zacisnął zęby.

— Niepotrzebnie głos podnosisz. Wydawało mi się, że winien ci jestem tę wizytę, choćby w dowód szacunku i wdzięczności. Należy usprawiedliwić panią Zawilską za jej wmieszanie się. Zgrzeszyła tu głównie Wyrwiczowa. Ale zapomnijmy o tem wszystkim.

— Nie mogę zapomnieć!... Ona miała słusność.

— Kto taki?

— Pańska żona!

— Cóż znowu!... Panią Zawilską wyeliminujemy z całej tej sprawy. Proponuję układ następujący: Wynajmę mieszkanie i urządzę odpowiednio, a panna Helena przyjmie łaskawie, gdy do jej gościnnych progów zapukam.

— Ach!... Co za łaska! Chce pan zrobić ze mnie swoją utrzymankę?!

Sytuacja stawiała się dla Zawilskiego arcyprzykra.

Zaczął uspakajać ją i gładzić po włosach.

Odskokczyła, jakby ją gad ukąsił.

— Proszę w tej chwili odejść, bo ja opuszczę ten pokój! — zawołała. — Czy nie może pan tego zrozumieć, że zerwałam, zanim pan miał czas znudzić się mną?

— Ach tak?!... Zatem... skończone?

— Zupełnie!... I proszę mnie zostawić w spokoju!

— W takim razie wypada mi przeprosić...

Zbliżył się do stolika, na którym leżał jego kapelusz i zatoczywszy nim półkole u stóp Heleny, skłonił przed nią nisko głowę. W ciemnych, pięknych oczach migały błyski drwiącego uśmiechu.

Uwalniano go z wszelkich zobowiązań, do jakich się jeszcze poczuwał.

Jak gwałtowna burza z ulewnym deszczem oczyszcza powietrze, tak, zdaje się, że gwałtowny, głośny płacz ma to do siebie, iż uspokaja nerwy.

Wyplakawszy się głośno i długo, jak chyba nie płakała od dzieciństwa, uczuła Helena dziwną ulgę.

...Teraz to już naprawdę wszystko skończone — pomyślała. — Teraz już wiem, że wyzwoliłam się z pod wpływu tego człowieka. Teraz już jesteśmy dla siebie obcy.

Powróciła do planów, dotyczących wyjazdu. Intuicyjnie odgadywała, że to najrozsądniejsze, co teraz mogłaby uczynić.

Napisała dwa listy: jeden do pani Świejkowskiej z prośbą o poparcie, drugi do zarządu szkoły gospodarstwa wiejskiego w Żelaznej Woli, z zapytaniem, czy znalazłaby tam jakieś zajęcie.

Listy te sama wrzuciła do skrzynki pocztowej.

Nagle przyszło jej na myśl, że to cudny dzień wiosny i że w Łazienkach wyglądać musi, jak w bajce. Wsiadła więc do tramwaju, zdążającego w stronę Łazienek. Uciekała od samotności, a przytem szukała spotkania z Szeligiewiczem.

— Czy zgadnę, że jedzie pani do parku Łazienkowskiego? — usłyszała za sobą, na platformie wozu, głos znajomy.

Był to Korecki.

Razem wysiedli z tramwaju. Korecki szedł obok.

Chciała mu powiedzieć, że nie życzy sobie jego towarzystwa, lecz zabrakło jej odwagi. Szukała kłamliwego pretekstu, jakby się go pozbyć, a tymczasem Korecki bawił ją rozmową. Tak zaszli do pierwszej zleji.

— Żyłem dużo z kobietami... Kochałem i one mnie kochały... Panią chciałbym poznać bliżej... O!... Nic pani nie odpowiada.

— Przysłuchuję się.

— W sposób nie bardzo uprzejmy... Czy nie zachodzi pani kiedy wieczorem do knajpki?

— Nie.

— Powinna się pani pokazywać między ludźmi.

— Jakimi?

— Da się to widzieć... Towarzyszyłbym pani...

— Aż tak?...

— Posiada pani bardzo dobre warunki na scenę. Wyraziście oczy, ładne rysy twarzy, piękną postawę... O!... Monumentalnie zbudowana. Z takimi warunkami można zrobić karierę.

— Pokazuje mi pan drogę...

— Właśnie!... Właśnie!

— Na którą wstępuje się i skąd się spada...

— Nie zawsze!

— Przynęta dla głupich rybek!...

— Dowcipnie! O!... Interesuje mię pani coraz więcej...

— Czy też rybka haczyk połknęła!...

Zaśmiała się nerwowo, myśląc równocześnie o tem, iż zlatują się na świeży żer; liczą na to, że może sukienki potrzebuje, może buciki podarte i nie ma za co sprawić nowych? A może mieszkanie jeszcze nie zapłacone i nie jadła dziś obiadu i głodna? Samotna, opuszczona. Więc łatwy łup dla takich jegościów.

— Niech pani nigdy się tak nie śmieje — zauważył Korecki. — Taki śmiech razi. Rozumiem... Pani te-

raz rozdrażniona... Zerwała pani z Zawilskim... Słusznie zresztą, skoro nie chciał się panią zająć, jak należy. Pani umie rozsądnie myśleć. Stosunek z żonatym człowiekiem dla kobiety, jak pani, to musiało być przykre. O!... Zgadłem!...

— Pan nieżonaty?

— Jeszcze kawaler.

— Jeśli dobrze zrozumiałam, to ofiaruje mi pan...

— Swoje usługi!... O!...

— W jakim zakresie?

— Powiedzmy: informatora...

— I żąda pan zapłaty jakiej?

— Nie wymagam wiele... Dla mnie zresztą nie wiele już... Zdrowia nie mam. Siły zabrała mi praca nocna w redakcji. Już nie mógłbym, jak dawniej... Pozostawię pani zupełną swobodę, rezerwując sobie rolę dobrego wujcia... O!...

— Ach, tak!... Mam doświadczenie, jak przypuszczacie... więc powinnam zrozumieć intencje pana. Nie, nie obraziłam się. Ale się dziwię, że nie odrazu zmiarkowałam, jakie są zamiary pana.

— Nie jest pani szczera — przerwał Korecki. — Umie nią być tylko kokota. Pani zaś niełatwe ma zadanie utrzymać się w środowisku pozornej uczciwości.

— Ależ pan jest bezczelny!

Odwrociła się od niego i cofnęła prędko na drogę, którędy przyszła. Nie zauważyła, że z przeciwnej strony zbliżał się Szeligiewicz. Biegła teraz wprost na niego.

— Ach, jak to dobrze, że pana spotykam! — zawołała bez zastanowienia, uświadomiwszy sobie tylko to jedno, że zastała go w parku.

W obawie, że Korecki mógłby się znowu do niej zbliżyć, mówić zaczęła gorączkowo, nie pomna, że Szeligiewicz zerwał z nią przecie.

— Niech mię pan odprowadzi do domu. Przyczepił się ten Korecki i łązi za mną, bawiąc rozmową, choć sobie tego nie życzyłam.

— Sądzi pani, że jestem do wymiatania śmieci po profesorach muzyki i jakichś reporterach? — zadrywał Szeligiewicz.

Spojrzała na niego przerażonemi oczami.

— Jezus Marja! Jezus Marja! — powtórzyła jakby w obłędzie.

Potem zaczęła biec przed siebie, aż oparła się o platformę wozu tramwajowego.

Wóz był przepełniony. Stała w największym ścisku podczas jazdy; lecz czuła się tak doskonale sama, jak na niedostępnej skale, wśród oceanu.

*

*

*

— „Przebaczyła mi pani?”

— „Przebaczyłam”.

— „Czy zapomniała pani o wszystkim, co było bolesne i przykre? Czy zapomniała pani także o mojem nieszczęsnem odezwaniu się w parku?”

— „Zapomniałam”.

Kiedy Szeligiewicz tak pytał, a ona w ten sposób odpowiadała, w duszy jej była już pogoda i miała wrażenie, że to, co stanowiło ich obojga udrękę, zapadło w bezmiarze przestrzeni tak, jak w bezmiarze czasu zapadł dzień wczorajszy.

Chciała przed nim uczynić spowiedź z przeszłości, ale zawołał:

— „Nie mówić! Ja proszę!”

I znowu, jak dawniej, przychodzić zaczynał codziennie. Przynosił jej za każdym razem parę kwiatów, by „nie czuła się tak bardzo samotna” i „miała czem rozradować smutne oczy”. Razem szli na spacer, wybierając dalekie za miasto przechadzki. Za powrotem, jedli w jakiejś mleczarni kolację, a przed bramą domu żegnał ją słowami: „do jutra”.

Raz, wracających tak razem, spotkał Zawilski i ukłonił się. Szeligiewicz udawał, że nie widzi tego ukłonu, ale od owej pory stał się mniej uważającym; odpowiadał z roztargnieniem i poznała, że znacznym wysiłkiem woli usiłuje opanować rozdrażnienie.

Przybiegła też Wyrwiczowa i zaczęła rozmowę od „siostrzanej przestrogi”, w imię głoszonego tak często przysłowia, że: „co krew, to nie woda”.

— Mówię ci, Heluś, trzymaj się w cenie i nie rzucaj się pierwszemu lepszemu na szyję. Szeligiewicz o żeniactwie nie myśli, a mieć stosunek z biedakiem, który utrzymuje się z tego, co piórem zarabia, ani takie ponętne, a przytem nie ma żadnych widoków na przyszłość.

Utkwiły w pamięci te słowa siostry.

Miałaby znowu zostać kochanką Szeligiewicza, jak była kochanką Zawilskiego?

Często bywa teraz tak, że Szeligiewicz omija w rozmowie sprawy, które ich obchodzą najbardziej; mówi słowa, które mają nakryć inne zgoła myśli. Albo też nastaje między nimi milczenie, jakby nie mieli już sobie nic do powiedzenia.

Wspominała mu o tem, że stara się o posadę nauczycielki w szkole gospodarstwa domowego na wsi, w pobliżu posiadłości Świejkowskich.

Zapytał:

„A tutaj, czy nie trafia się nic takiego?”

I już o tem więcej nie mówił.

O stryjence, generałowej Szeligiewiczowej, nie wspominał również.

Może przez delikatność?

Ale do tego kłamstwa, którem są skrępowani, przybyło jeszcze jedno ogniwo.

Spowiadała się tak oto Helena z tego, co zaszło, pod nieobecność Przesławskiej, a Przesławska słuchała w milczeniu. Wreszcie rzekła:

— Wiecie, to jest tak: Wielkiej ochoty do wmieszania się między was dwoje, nie mam, bo i sensu żadnego w tem nie widzę. Jeśli jednak sobie życzycie koniecznie, mogę pomówić z Szeligiewiczem. Ale poczekajcie jeszcze trochę, bo nuż się to bez mojego współudziału „wyklaruje”.

— Czekałam na was dwa tygodnie...

— No, wiecie, nie udało mi się wrócić tak rychło, jak to było w planie. A co? Chcecie może wmówić we mnie, żeście tak niecierpliwie wyglądali mojego powrotu!... Nie miał wam kto przeszkadzać.

— Ależ, pani Marjo!... Jak możecie tak mówić!...

Helena to czerwieniała, to znów bladła. Przyszło jej na myśl, że Przesławska widzi w niej kochankę Szeligiewicza.

Przemiana w wyrazie jej twarzy była tak gwałtowną, że tamta zauważyła to odrazu.

— No, no! Miarkuję, że dręczycie się myślami, które trzeba wyrzucić na góry i lasy. Cóż to znów za lichy opętało was!... Nerwy rozigrane, ot i wszystko!

Przesławska ziewnęła bez żenady.

— Wiecie, zmęczona jestem okrutnie po podróży. Nie czułam tego do tej chwili. Idę spać. Jutro pomówimy o waszej sprawie.

Pocałowała Helenę i odeszła do swego pokoju.

A Helena pomyślała:

Dobrze się stało, żem Przesławskiej nie powiedziała, jak tu zjawił się Szeligiewicz nazajutrz po owem spotkaniu w parku...

Otworzył cichutko drzwi. Miał taki śliczny wyraz chłopięcej trwogi w oczach. Przyniósł wiązanek róż i rozsypawszy je u jej nóg, runął przed nią na kolana.

Nikommu o tem nie powie. Nawet Szeligiewiczowi nigdy nie przypomni, że była między nimi ta chwila jej triumfu, a jego słabości.

Usunie mu się cicho z drogi. Powiedziała: przebaczyłam; powiedziała: zapomniałam; lecz teraz czuje to, że ani przebaczyć, ani zapomnieć nie może. Miłość ich skrępowana jest kłamstwem. Nie chciał słyszeć jej spowiedzi. A przecie ona nie w kłamliwej skrusze, lecz w rozbudzeniu człowieczeństwa pragnęła z nim mówić, jak towarzysz, jak druh, jak przyjaciel... O tem, że będą sobie pomagać wzajem i razem działać: człowiek wolny z drugim człowiekiem.

Zamknął jej usta pocałunkiem, gdy w niej płakał jeszcze żal po doznanej obeldze.

Nie namyślała się już dłużej i napisała do Szeligiewicza, żegnając go na zawsze.

— — — — —

Często tak działała pod wrażeniem chwili. I zdarzało się też, że dopiero *post factum* przychodziły jej na myśl rozmaite korektury, których już naturalnie zrobić nie mogła.

Po wysłaniu listu do Szeligiewicza, wystąpił nowy objaw: trenowanie woli w kierunku niemyślenia o tem, czy dobrze, lub źle uczyniła.

Kładąc się spać tej nocy, próbowała odtworzyć w pamięci kształt, jaki mają rabaty kwiatowe w ogrodzie Świejkowskich. Wiedziała o tem z doświadczenia, że ilekroć razy zasypiała, myśląc o kwiatach, to w wyobraźni jawiły się zaraz bajeczne klomby róż, całe szpalery krzewów bzu, kwietne łąki, pełne błękitnych kampanuli, to znów długie zagony różnokolorowych maków, i pachnących lewkonji.

Za aleją grabową, w parku Świejkowskich, stał domek ogrodnika, a przed oknami rosły tam okazałych kształtów malwy. Każdy z tych krzaków kwitł inaczej; niektóre były pstre; najpiękniej zaś wyglądały bladoróżowe, z żyłkami ciemnoczerwonemi, jakby po nich sączyły się cienkie strugi krwi.

W najbardziej słonecznej stronie parku rozpościerały się, wśród strzyżonych trawników, wspaniałe, kwietne dywany. Układane były z różnorakiego kwiecia i kolorowych liści, podług ściśle określonego wzoru ornamentacyjnego; tworzyły zaś, wśród arabesek, to monogram Świejkowskich, imiona ich córek, lub wreszcie monogram Miarczyńskiej, matki pani Świejkowskiej. Jesienią zabierał ogrodnik te wszystkie delikatne roślinki kwietne do oranżerji, lub inspektów, gdzie odpoczywały przez zimę w wazonkach. W parku została po nich rozorana, duża mogiła, w krąg której

biegły pojedyncze groby, tak niewielkie, że dałyby nakryć się dłonią. Dokoła sypały się z drzew zeschnięte liście: żółte, czerwone i brunatno-rdzawe... Nadchodziły mroźne wieczory i jeszcze mroźniejsze ranki. Pierwszy szron zwarzył ostatnie na klombach róże jesienne, a огоłocone z liści drzewa, lśniły srebrną powłoką szronu i zdały się być świecznikami dokoła martwej ziemi, spoczywającej w otwartej trumnie. Nad ziemią, olbrzymie wieko niebios, zaścielone chmurami.

W nocy spadł śnieg obfity; otulił gałęzie nagich drzew i krzewów, rozłożył się wygodnie na zeschniętych trawnikach, a wtedy stary, dumny, okazały park здаwał się zasypiać na sen długi.

Odtajały w marcu śniegi; w parku była cisza, jak na cmentarzu. Drzewa ociekały wilgocią, na strzępach trawników sterczały zeschnięte badyle, które, niby porósła, odkręcał i zakręcał wiatr; na ścieżki, żółtym żwirem wysypane, spływały brudne strugi roztopów.

Lecz przeżyło się już nowe życie pod korą drzew, a słońce rozdzielało pieczyoty na wszystkie strony.

Aż jednego ranka świeżą zielenią umajony park rozebrzmiał przeciągłymi trelami ptasich śpiewów. Karłowate krzewy, w niedawno założonym zagajniku, rozpostarły gałęzie, w kształcie parasola, obsypane różowym kwieciem.

Dziwna rzecz! Jeszcze nie śpi, a przesuwają się te widziadła, jak we śnie.

Zamajaczyły przed nią w nadzwyczajnej obfitości olbrzymie bukiety liljowego bzu, wśród soczystej, bujnej zieleni krzewów, rosnących szpalerem we dwa rzędy.

Wyraźnie, coraz wyraźniej, widzi tę obfitość bzu, ich kolor intensywnie liljowy. I takie świeże są te gałązki kwiecica! Niemal czuje ich mocny, odurzający, słodki zapach.

Tydzień temu przyniósł jej Szeligiewicz dużą gałązkę bzu.

Ale rozmowa rwała się ciągle.

Jakby coś stanęło nagle między nimi.

Nazajutrz to samo. Już nie zapraszał na spacer. Odwiedziny trwały coraz krócej, pożegnania były coraz sztywniejsze.

Jutro Szeligiewicz już nie przyjdzie. Gdy z redakcji wróci do domu, zastanie jej list.

A jeśli mimo to przyjdzie?

Szeligiewicz zadzwoni dwa razy, by wiedziała, że to on. Lecz ona zamknie się tu, w pokoju. Przesławska go przyjmie.

Za chwilę wróci ból, który już zna. Niby wąż owinie gardło, opasze piersi, wgrzyzie się żądłem w samo serce.

Trzeba ubiec ten moment.

Gdzież podziały się krzewy bzu, rosnące szpale-rem we dwa rzędy?

Cudne kwiecie bzu, symbol wiosny, szczęścia i miłości...

Olbrzymie bukiety bzu o intensywnie liljowym kolorze i słodkim, upojnym zapachu.

Obraz wywołany zjawia się, ale jest już tylko, jak wyblakła fotografia.

Czemuż poprzednie widzenia przeżywała tak, jakby w rzeczywistości?

Byłże to trans i minął?

Usiłuje zasnąć. Wywołuje najlepsze wspomnienia. Chce spać, chce zapomnieć i odpocząć. Nie myśleć, bo myślenie boli.

Zasnęła dopiero nad ranem.

Śniły jej się kwiaty i motyle; widziała płynące po niebie obłoki i kaskady spienionych wód nad tamą, gdzie mieścił się stary młyn. Mieszkała znowu na wsi. W sadzie kwitły drzewa owocowe. Okno jej pokoju otwarte było na sad. Słowik, ukryty w gąszczach, wyśpiewywał tęskne trele. Wielka tarcza księżycy prześwalała się między obłokami. W poświacie blasków jawiły się bujne gałęzie liljowego bzu, umiłowanego przez nią kwiecica.

Budząc się około dziewiątej rano, spojrzała Helena przed siebie i wzrok jej bezwiednie zatrzymał się na drzwiach, które prowadziły do przedpokoju. W szparę tych drzwi wsunięty był list.

Wyskoczyła z łóżka i list ten, jak złobycz, uniosła z powrotem...

Koperta miała firmę zarządu szkoły gospodarstwa domowego.

Czyżby odmowa?

Powoli, z zabobonnym lękiem rozerwała kopertę. Skupiła się w sobie. W duszy jej grały echa snów, które prześniła.

Może coś bardzo dobrego spotka ją dzisiaj?

Rozłożyła arkusz listu i zaczęła czytać:

Szanowna Pani!

List Pani i odpisy świadectw otrzymałam. Została Pani gorąco polecona przez zacnego pana Świejkowskiego i jego czcigodną małżonkę. Wła-

śnie wakuje posada nauczycielki i możemy ją Pani powierzyć. Zechce Pani łaskawie przejrzeć dokładnie warunki płacy i deputatów, jakie otrzymują nauczycielki zakładowe, a jeśli warunki odpowiadają Pani, byłoby wskazane, byśmy jak najprędzej zostały powiadomione, kiedy obejmie Pani swoje obowiązki w zakładzie.

Z poważaniem

Za Zarząd.

Podpis był nieczytelny, lecz obok podpisu wyraźnie znaczyła się pieczętka z firmą instytutu. To wystarczało.

Przeczytała następnie załączniki, w których podane były warunki.

Niewiele się nad niemi zastanawiała; ucieszyło ją przede wszystkim to, że otrzymała posadę.

Spiesznie zaczęła się ubierać. Potem zapukała do pokoju Przesławskiej.

Niestety. Przesławska już wyszła. Na komodzie w przedpokoju leżała kartka z wiadomością, że wróci dopiero późnym wieczorem.

Nie czekając jej powrotu, napisała do zarządu szkoły gospodarstwa domowego, że godzi się na wszystko.

Oznaczyła również dzień przyjazdu.

List ten wysłała za recepisem. A gdy się już z tem uporała, doznała takiego wrażenia, jakby ją odgradziły jakieś mury od Szeligiewicza.

Czy znowu wróci znany ból, i niby wąż, owinie się

wokoło szyji i opasawszy pierś, wgryzie się żądłem w serce?...

Ból ten już się nie powtórzył. Uczuła tylko prze-
rażliwe zimno. Słońce świeciło, był ciepły dzień majo-
wy, a jej się zdawało, że lodowacieje w niej każda
kropelka krwi.

— — — — —
Nie zapalając lampy, siedziała w ciemnym poko-
ju, czujna na każdy szelest za drzwiami.

U Przesławskiej był Szeligiewicz. Czekala aż
odejdzie i usłyszy automatycznie zatraskujące się za
nim drzwi.

Okryła się pledem. Było jej coraz zimniej i wtu-
liła się w róg kanapki. Starala się zachować tak cicho,
by Szeligiewicz uwierzył, że niema jej w domu.

Nie wiedziała o tem, że Przesławska powiedziała
Szeligiewiczowi:

— Hela siedzi tam w ciemnym pokoju i czeka.
Przez upór, nie wyjdzie do was. Pozostaje wam do
zrobienia to, co zrobiliby na waszem miejscu ktoś
z przed trzystu laty. I cóż? Na to nie możecie się
zdobyć, by wyważyć drzwi?

Szeligiewicz słuchał ze zwieszoną głową.

— Pani drwi sobie ze mnie.

Podniósł się z krzesła.

— Wypada mi zatem odejść — dodał.

— Jakto, nic nie sprawiwszy? — spytała Prze-
sławska.

— Panią to dziwi?... Czy spodziewala się pani,
że wywalę drzwi, jak pijany żołnierz?...

— Przepraszam! Jak rycerzyk!

— Śmieszne!

— Być może! Ale wiecie! Byłby jednak w tem wszystkim jakiś gest i... mojem zdaniem, jedynie rozumny czyn w takim idjotycznym położeniu.

— Pani nazywa to idjotycznym położeniem...

— A bo tak! Właśnie! Często mianem subtelności określamy to, co jest tylko niedołęstwem.

— Czyli, że jestem niedołęgą.

— Potrosze... tak!...

— Dziękuję pani!

— A bo wiecie! Nie jestem już dzisiaj nastrojona na ton minorowy i chciałabym wam powiedzieć coś grubiańskiego...

— Dlaczego aż tak?

— Bo jeśli bałamucicie Helenę i nie kochacie jej...

— Myli się pani. Czuję tylko, że wmieszanie się osób trzecich, choćby to był nawet ktoś taki, jak pani, musi jeszcze bardziej zachwiać moją wiarą...

— W siebie, czy w Helenę? — przerwała cierpko.

— Nie wiem!

— Pyszny sobie! No, to ja wam powiem!... Miłość, a raczej tak zwana wasza miłość, przechodzi teraz przesilenie. Albo umrze, lub wyzdrowieje. A co?... Czy zdawaliście już sobie z tego sprawę?

— Zabrakło mi odwagi, by uczynić to w taki bezwzględny sposób...

— Jak to uczyniłam ja!

— Przypuśćmy!...

— Ano, bo nie cierpię, wiecie, hamletyzmu! Bo uważam, że i bez naszego przyczynienia się, życie jest naprawdę tragiczne, a wyolbrzymianie subiektywnych wątpliwości w dziedzinie erotyzmu na temat: „tak”

czy „nie“, wydaje mi się nonsensem już nie tylko życiowym, ale nawet literackim.

— Może ma pani słuszość, *notabene*, jeśli umieścimy to w dziedzinie erotyzmu. Ale wszak mówiliśmy o miłości, a jest to taki wielki czynnik w życiu, jak śmierć.

— Duże słowa!

— Nie określiłem niemi małej rzeczy, przypuszczam. Mogę także panią zapewnić pod słowem honoru, że nie bałamucilem pani Heleny. Uczucia moje dla niej są dzisiaj tak samo nieprzemijające, jak były w czasie, kiedy nie uważała mnie pani za bałamuta. I zastrzec się muszę przed insynuowaniem mi takich donżuanowskich zalet, jakich nie posiadam.

— Więc cóż mam Helenie powiedzieć?

— To, że przyszedłem, by się z nią zobaczyć. Skoro jednak drzwi przede mną zamknęła, przemocy używać nie będę. Pani Helena napisała do mnie list z pożegnaniem. Uważam, że pożegnanie w tej formie nie jest potrzebne. Jeśli teraz wyjeżdża i pracować chce na wsi, zdala od wszystkiego, co budzić w niej może przykre wspomnienia, nie chcę stawać w poprzek jej zamiarom.

— W takim razie cała ta nasza dyskusja jest bezprzedmiotową?...

— Cieszę się, że i pani nabrała przeświadczenia, że nie mam prawa sprzeciwiać się woli pani Heleny.

— Nie, mój szanowny kolego po piórze! Takiego przeświadczenia nie nabrałam. Ale powtórzę Helenie tę naszą rozmowę. Zresztą, może sami jeszcze napiszecie do niej.

Zbliżyła się do biurka, udając, że szuka czegoś między papierami.

Szeligiewicz zrozumiał, że chce go się pozbyć. Poczerwieniał i zaczął się prędko żegnać.

— Napiszę... Przepraszam, jeśli zabrałem tyle czasu. Dobranoc!

— Dobranoc!

Podawała mu rękę.

Zatrzasnęły się nareszcie drzwi. (Helena odczuła ten stuk mniej więcej tak, jakby zapadło wieko, kryjące drogie dla niej zwłoki).

Czy liczyła na to, że Szeligiewicz nie odejdzie, zanim do jej drzwi raz jeszcze zapuka?

Przesławska zwlekała długą chwilę, zanim weszła do pokoju Heleny.

— Uf!... Gorzko mi w ustach, wiecie, po tej rozmowie z Szeligiewiczem! Albo to jest idealista, jakich dzisiaj mało, lub filut!... Da się to dopiero widzieć. Na razie lepiej tak, że się rozstaniecie. Jest że ta miłość szczerą, wówczas wróci on do was. A jeśli się mylimy, w takim razie nie wiele straciecie. I cóż?...

— Słucham was, Marjo!...

— No, z taką „kamienną twarzą!“... Miarkuję, że ciągle jeszcze jesteście pod wrażeniem dawnych przeżyć i wpływów Wyrwiczowej; to znów oddziałują tu na waszą psychikę przekonania, nabyte w owym zacnym domu Świejkowskich, gdzie panuje kult życia rodzinnego, a miłość, bez sakramentów małżeńskich, uważana jest za jeden z grzechów śmiertelnych. Nie umiecie myśleć kategorjami nowoczesnymi.

Ale, jak każda subtelna kobieta, ilekroć w stosunku do mężczyzny kierować się będziecie intuicją, zyskujecie dziewięćdziesiąt szans na sto, że najwłaściwszą wybierzeście drogę.

— Sądźcie więc, Marjo?...

— Otóż w tym wypadku, wiecie, takie mam przekonanie, że lepiej będzie, jeśli się teraz rozstaniecie z Szeligiewiczem... No, no!... Nie musi to być rozstanie na zawsze!

— Pocieszacie mnie! — przerwała Helena.

— Dajcież mi dokończyć!... Chciałam jeszcze powiedzieć, że wątpię czy to jednak ten, przy którym kobieta mogłaby się dźwignąć...

Tu znowu Helena przerwała:

— A mnie się zdawało, że właśnie dźwigam się na jego miłości.

— Ano, bo stwarza sobie człowiek takiego, lub innego fetysza, kiedy czuje, że mu to do życia potrzebne. Trzeba wam było uwierzyć w jego miłość, abyście się mogła dźwignąć. Zdrową macie naturę. Nadzwyczajny, wiecie, instykt samozachowawczy. Aby się nie zatracić, uwierzyłaś niewiasto w miłość Szeligiewicza, usiłując pokochać go wzajem. To was uchroniło od przykrej zależności takich panów Zawilskich i Koreckich. W samej rzeczy dźwigacie się o własnej sile. O, wyście silny człowiek!

— Dziękuję wam Marjo!... Ale smutna jestem! Śmiertelnie smutna.

— Żal wam tej pięknej złudy miłosnej! Zapewne, że miłość, to cudna rzecz. Lecz cóż począć, skoro by-

wa najczęściej tak, iż najlepsze, najbardziej wartościowe kobiety przechodzą przez życie, nie znajdując właśnie tego mężczyzny, który byłby wart ich miłości.

Ujęła ręce Heleny w swoje dłonie i dodała serdecznie:

— Wyjedziecie i żyć będziecie między ludźmi prostymi. Największym zwycięstwem w miłości jest ucieczka. Aforyzm ten, przypisują Napoleonowi I. W każdym razie miał duży rozum ten, co te słowa powiedział.

Uścisnęły się. Helena miała ochotę rozplakać się, ale Przesławska zaczęła już mówić o czym innym.

Przed samym odjazdem nadszedł list Szeligiewicza.

„Poddaję się Twojej woli. Tem, czem dla mnie jesteś, pozostaniesz na zawsze, do końca życia mego. Uczuć moich dla Ciebie nie zmieni oddalenie. Nie żegnam Cię, ale mówię: „do widzenia!“

Zdzich.

W pośpiechu, niemal jednym spojrzeniem, objęła treść pisma.

„To kłamstwo... kłamstwo... kłamstwo“ — szepotała rozdrażniona, a fale głębokiego żalu wzbierały coraz gwałtowniej.

Zmiąwszy w rękę list, szybko otworzyła drzwiczki u pieca i w czarną czeluść wrzuciła zmiętą ćwiartkę papieru, by ją spalić. Już trzymała płonącą zapalstkę, gdy nagle, jakby ktoś szarpnął jej dłonią...

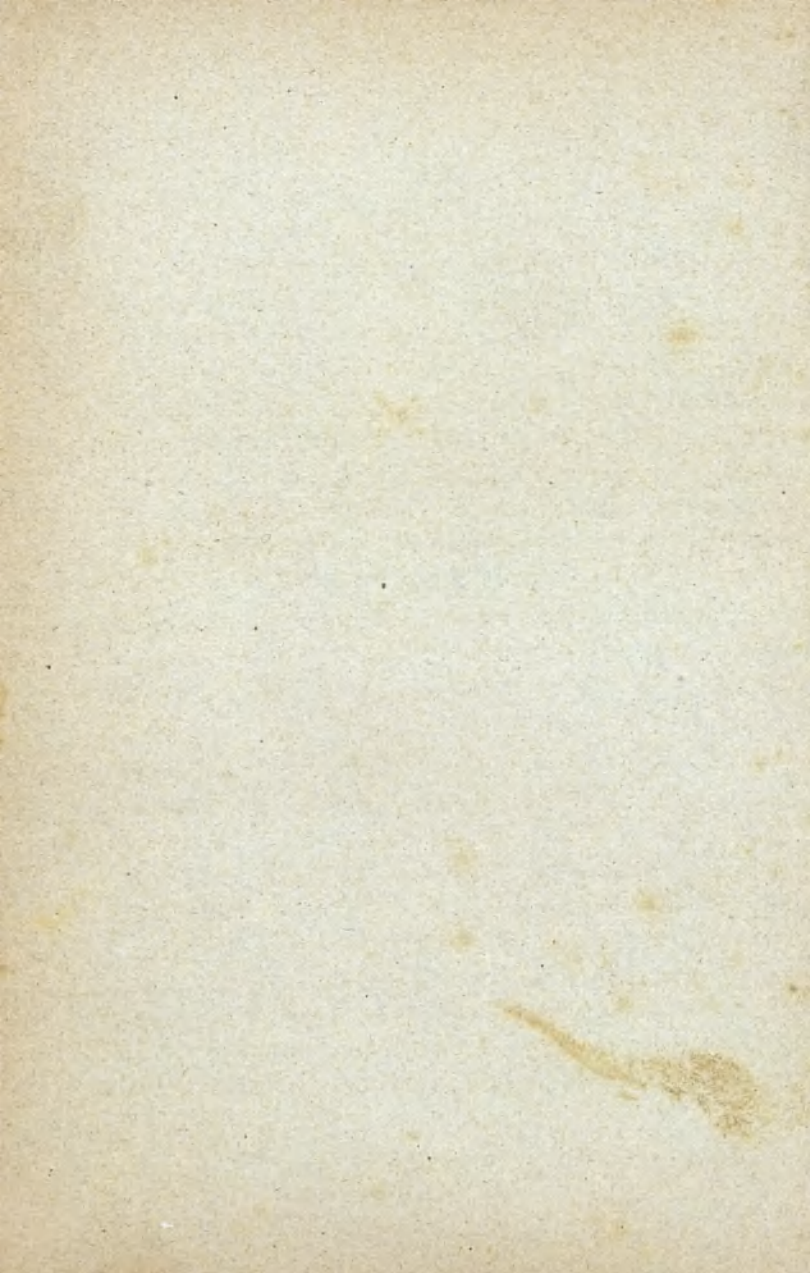
Zapałka zgasła.

W chwilę potem wygładzała jak najstaranniej zmięty list Szeligiewicza. Odczytywała teraz słowa jego pożegnania powoli, nietylko oczami, ale duszą całą...

CZEŚĆ II.



U ŹRÓDŁA



W pokoiku, oddanym jej przez Zarząd szkoły na mieszkanie, świeciła się mała lampka naftowa. Za oknem rozpościerała się ciemna noc, którą przeorywały płomienne zygzaki błyskawic. Jak z armat, waliły pioruny. O szyby uderzał deszcz, smagany wichrem. Z rynny ściekały strumienie wody.

Tworzyło to wszystko razem przesmutny nastrój Chopinowskich nokturnów.

Ogarnęło ją najprzykrzejsze z uczuć: poczucie osamotnienia.

Dołączyło się też do tego fizyczne niedomaganie: po ciele przebiegały febryczne dreszcze. Przemokła w drodze ze stacji kolejowej do wsi, na otwartej jadąc furze, podczas najbardziej ulewnego deszczu. Parasol i wydobyta z kuferka chustka, nie osłoniły jej dostatecznie, bo ulewa spadła nagle.

Wprawdzie zaraz po przyjeździe zmieniła odzież, ale zanim dostała się z zakładu do chałupy, gdzie jej oddano na mieszkanie ten pokoik, przemokła na nowo, brnąc wśród deszczu przez niezliczone kałuże błota.

Niewesołe to były przenosiny.

Skutkiem nieporozumienia złożono wszystkie jej bagaże w sieniach zakładu. Tam ją powitali; tam również zjadła kolację. Tymczasem nastała ciemna noc; gdy zaś okazało się, że trzeba rzeczy przenieść i nie można z tem czekać do rana, usłyszała, że służba już śpi. Przy pomocy jednej z wychowanek zakładu przeniosła tutaj kufer i worek z pościelą.

Teraz czuje urazę do Zarządu zakładu. Jakże inaczej bowiem wyglądała „instalacja“, kiedy przed pięciu laty obejmowała posadę guwernantki u Świejkowskich!

Posłano wtedy na stację zamknięty powóz. Stangret najtroskliwiej otulił jej nogi pledem. Zaledwie zaś powóz stanął przed portalem pałacu, wybiegła pokojówka i zaprosiła do elegancko urządzonego pokoju.

Pokojówka pomagała jej rozpakować walizki. Jasność elektrycznych świateł zalewała pokój. Na łóżku bieliła się pościel. Przygotowano ciepłą kąpiel i przyniesiono kolację do jej pokoju.

Nazajutrz dopiero przedstawiła się Świejkowskim.

Tu nagle w tok wspomnień wpadły jakoweś zgrzyty.

Jakby warknął pies, uwiązany na łańcuchu.

...„Idjotka jestem! — skarciła się w myślach. — Wielkopańskie były wygody, ale podła zależność”.

Życzliwszem już spojrzeniem ogarnęła nagie ściany pokoju i te graty, które stanowiły najkonieczniejsze umebłowanie.

Powiedziała jej kierowniczka zakładu:

„Nie jest to wspianiały apartament, jaki tu przygotowałyśmy. Sądzę jednak, że mając własny swój pokój, będzie pani zadowolona, tembardziej, że przemyślnością kobiecą i wrodzonym każdej kobiecie zmysłem artystycznym, urządzić go będziesz mogła według własnego upodobania”.

„Zazdroszczę pani! — rzekła jej podczas kolacji panna Lisowska, nauczycielka zakładu, udająca młodą dziewczynę mimo siwiejących włosów i pomarszczonej twarzy. — Nie będzie pani ciągle pod kontrolą, jak my, które mieszkamy w zakładzie”.

Kierowniczka zakładu okazała jej dużo przychylności, troskliwie wypytywała o jej potrzeby. Nauczycielka Szczepanowska wspominała o szkicach i obrazkach, z których pozwoili jej coś wybrać. Druga koleżanka, Wiśłocka, obiecała zrobić ramki. Tak więc, przy ich pomocy, potrafi przemienić ten ubożuchny pokój w miłe wnętrze.

Stosunki mogą się ułożyć pomyślnie. Samodzielność... Byt na razie zapewniony... Nowe życie...

Z najwyższej depresji popadła Helena w drugą ostateczność: Zaczęła marzyć.

Znikły cienie zalegające mroczny pokój. Już nie przerażała jej ponura noc, zaglądająca przez okno. Z mniejszą już goryczą myślała o deszczu, który ciągle jeszcze tłukł się o szyby.

Zasypiając, śniła, że brzegiem rzeki, wąską, stromą ścieżką, wspina się z trudem pod górę i potyka się ciągle o wystające kamienie. Nie wiedziała dokąd i z czyjego szła nakazu. Czuła okrutne pragnienie i była śmiertelnie znużona. Bała się nachylić nad rzeką, skąd mogła przecie zaczerpnąć wody do picia. Wresz-

cie zobaczyła u skraju lasu dużą łąkę, pełną kwiatów. Minęła ją i weszła w las. Tu uczuła znaczną ulgę, bo już nie stąpała po kamieniach i nie widziała już rzeki, do której lękała się zbliżyć, by jej nie pochłoneła.

Lecz za łąką, w lesie, napotkała znowu lśniącaą taflę wód.

Było to źródło leśne. Kryniczny źródół spoglądał na nią szmaragdowem okiem i wabił...

Nie mogła się oprzeć pokusie. Mimo lęku nachyliła się i nagle spadać zaczynała gdzieś w zawrotną głąb.

Chwila okrutnego strachu... Wkońcu wrażenie, jakby wchłonał ją bezmiar.

*

*

*

Gdy Helena weszła w towarzystwie kierowniczkii zakładu do sali wykładowej, zastała tam już wszystkie uczennice. Okna otwarte były na sad, pełen słonecznych blasków. W skrzyneczkach przed oknami kwitły bujnie szkarlety. Ujrzała też cztery rzędy krzeseł, po pięć w każdym rzędzie i tyleż pulpitów. Na krzesłach przed pulpitemi, siedziały dziewczęta w wieku od lat 15 do 18, wszystkie jednakowo ubrane. Spódniczki samodziałowe, tkane w pasy szafirowe i czerwone, misterny haft na kołnierzykach i u rękawów koszulek, które wyzierały z pod gorsetu z wzorzystej materji. Jednakowo też były wszystkie uczesane. Splecione w warkocze włosy, otaczały głowę, niby wianuszek. Twarze miały czerstwe, pogodne, o dobrem, rozumnem wejrzzeniu i uśmiechnięte, świeże usta.

Kierowniczka zwróciła się do dziewcząt z okolicznościowym przemówieniem, następnie przedstawiła im nową nauczycielkę.

A jej przez dziwne jakieś skojarzenie wspomnień, przyszła na myśl Przesławska i lekcje tamtej na Powiślu, propaganda wśród ludzi, których dusze rwały się do światła i wiedzy.

Jeśli tutaj jest do spełnienia czyn obywatelski?...
Jeśli tutaj czeka ją szczytne posłannictwo?...

Czuła okrutny niepokój. Była onieśmielona tą nową sytuacją.

Należało się jednak przezwyciężyć.

Kiedy wypowiedziała pierwsze słowa, prawie obco zabrzmiał w jej uszach głos własny.

Razem uczyć się będziemy. Ja od was, wy ode mnie. Siostrami będziemy. Wyciągam do was ręce i pragnę, abyście mi ufały...

Powiedziała im, jak uczyć je będzie. Wybrała metodę Sokratesową. Wytłumaczyła zasady tej metody. Potem mówiła już na temat obranego wykładu. Był to, jakby konturami tylko, nakreślony szkic. Zręcznie przerzuciła pomost między przeszłością, o której mają się czegoś dowiedzieć, a teraźniejszością, dla której ta wiedza jest potrzebna.

Skończyła mówić, a wtedy z drugiego rzędu krzeseł podniosła się niezwykle urodziwa dziewczyna i głosem równym, dźwięcznym i spokojnym wypowiedziała przemowę.

Przemówienie Zarębianki.

W imieniu mojem i koleżanek dziękuję staropolskiem „Bóg zapłać!” Dziękuję za słowa dobre, z ser-

ca płynące, i za te jasne, piękne promienie wiedzy, któremi na tym pierwszym już wstępie do wykładów naświetliła pani przeszłe wieki i teraźniejszą chwilę. Chcemy poznać historję minionych wieków, skoro, jak powiada nasz poeta, jest ona mistrzynią życia. Cieszymy się na te lekcje tembardziej, że mają być podane w formie dysputy, jaką kiedyś ze swoimi uczniami prowadził grecki filozof, Sokrates. Przez dyskusję wygimnastykujemy nasz umysł, tak, jak pracą fizyczną wygimnastykowane są już nasze mięśnie. I nie tylko w godzinach lekcyj, ale każdego czasu, gdy razem się zejdziemy, przyrzekam w imieniu mojem i koleżanek zachować dla pani, jako dla starszej, rozumniejszej i bardziej światłej siostry, miłość i cześć. Ucząc się i kształcąc, zdążać chcemy ku doskonaleniu serc i dusz naszych. Tym, którzy nas na tej drodze wspomagają, potrafimy okazać naszą wdzięczność i cześć“.

Tu wszystkie dziewczęta powtórzyły chórem:
„Cześć“!

„Dzieją się dziwy“ — pomyślała Helena. Jej wstęp do wykładu i wykład, wyraźnie inspirowany duchem Przesławskiej, o której musiała myśleć, wchodząc do sali wykładowej; nastrój, jakby nie w szkole była, ale na jakimś zgromadzeniu; odpowiedź wiejskiej dziewczyny, która przemawiała, jak wytrawna wiecowa mówczyni, wszystko to, jakby sen, lub marzenie.

Zastanawiać się nad tem dłużej nie miała czasu, bo już Zarębianka podjęła z pulpitu karteczkę i odczytywała pytania, które nakreśliła podczas wykładu.

Pytania były najściślej związane z tematem, postawione jasno, a w swej konstrukcji myślowej niezwykle logiczne. Zachwyciły Helenę i dała temu uczuciu folgę w wyrazach bardzo gorących. Chciała też natychmiast na nie odpowiedzieć, gdy wmieszała się w sprawę kierowniczką zakładu.

— Proszę spojrzeć na te szeregi pulpitów — rzekła z uśmiechem. — Prawie na każdym pulpicie ujrzy pani taką karteczkę z pytaniami. Jeśliby pani chciała teraz odpowiedzieć, trzebaby na to poświęcić drugą godzinę, która wyznaczona jest na czytanie. Karteczki z pytaniami przeglądnij pani u siebie w domu i pisemnie da odpowiedzi.

A gdy tak mówiła, już jedna z uczenic zebrała kartki i przyniosła je kierownicze. Ta włożyła je do teki i wręczyła Helenie.

Druga godzina wykładów odbyła się już bez asystencji kierowniczki.

Czytały nowelę Sienkiewicza: „Latarnik”.

Słuchaczki były niezmiernie zadowolone, a Helena podziwiała ich zapał i bystrość umysłu.

W pewnej chwili rzekła Zarębianka:

— Pełnię tego tygodnia obowiązki wybranej przez gminę szkolną prezesowej klasy i z tego tytułu przypominam, że minęła już godzina lekcji. Dziękujemy pani.

Porządkując notatki, usiłowała Helena zapanować nad zmieszaniem. Nie wiedziała, co teraz począć.

Czy pójść z dziewczętami?

O ile mogła zmiarkować z wydawanych haseł, wybierały się dziewczęta grupami na oddzielne pozycje.

Helena spojrzała na Zarębiankę.

Uczenice, ukłoniwszy się, odeszły; zostały tylko we dwie na sali.

— Polecono mi pokazać pani urządzenia zakładu — rzekła Zarębianka.

— Owszem! Bardzo pani dziękuję! — zawołała Helena.

— Czy nie zna pani naszego zakładu? — zapytała dziewczyna, wskazując drogę.

— I tak i nie! — przyznała Helena. — Zakład ten oglądałam już raz pobieżnie, zimową porą, w towarzystwie pani Świejkowskiej. Było to podczas feryj świątecznych, gdy uczenice rozjechały się do domów.

— Przypominam to sobie — wtrąciła Zarębianka. — Były także z panią wtedy małe Świejkowskie, które teraz uczą się na pensji w Warszawie. Widziałam was zdaleka. Stałam przed domem opiekuna Dobiji.

Umilkła, zastanawiając się, od czego zacząć zwiedzanie zakładu.

— Pójdziemy do ogrodów, a potem w pole i do zabudowań gospodarskich, co wszystko nazywamy naszym folwarkiem — oświadczyła po namyśle. — Skoro zwiedzała pani zakład zimową porą, więc tamtych urządzeń nie mogła pani wówczas dokładnie zobaczyć.

Jak w olśnieniu kroczyła Helena wśród rozkwitłych drzew owocowych i różnorodnej zieleni ogrodów i pól, gdzie spotykała nachylone nad zagonami i pracowicie już czynne wychowanki zakładu.

W chusteczkach na głowie, a bose, opasane szerokim fartuchem, z zawiniętymi rękawami, spódnicę

podpiętą mając przezornie, by jej zwilgłą ziemią nie uwałać, tak stanęły przy robocie. Rozsypała się gromadka jedna, druga, i trzecia, stercząc tu i ówdzie na zagonach, niby olbrzymie, stylizowane grzyby, wygięte w kształt rozmaity.

(Tak wyglądały zdaleka).

Przechodząc koło zagonów, rzucała Zarębianka w stronę dziewcząt jakieś słowa żartobliwe, które o słuch Heleny uderzały, niby oddalona melodia.

(Zbyt silnie napięte wzruszenie przeszkadzało jej reagować na różnorodność wszystkich wrażeń wzrokowych i słuchowych).

Zadziwiało ją przedewszystkiem niebo, które miało dziwnie ciepły koloryt. W powietrzu słyszała granie nieuchwytnych melodyj. Obejmowała ją rozległa przestrzeń, oczyszczona burzą po wczorajszym deszczu. Wydawało jej się to wszystko malowaną panoramą, to znów obrazem, ujętym w kryształową banię, silnie słońcem prześwieconą. Ogarnęło ją też uczucie rzewnego rozradowania; jakby rozwarły się ramiona matki i przygarnęły ją ku sobie serdecznie i słodko.

Zarębianka pokazała Helenie królikarnię i chlewiki; zaszły potem do sadu, gdzie stało 50 ulów; na łące podziwiała pasące się krowy z folwarku zakładowego. Było co podziwiać. A Helena dziwiła się teraz wszystkiemu, na co tu patrzyła. Jej zainteresowanie się tym zakładem teraz było zgoła inne, niż wtedy, gdy towarzysząc oficjalnie Świejkowskiej, wlokła się za nią, jak cień. Inny też był nastrój dokoła.

A może to w jej duszy dokonały się wielkie przemiany?

Wracając już potem sama z folwarku, (Zarębiankę odwołano do podoju) Helena spotkała na gościńcu Wawrzycką, zastępczynię kierowniczką zakładu. Od niej dowiedziała się, że ma tu dawnego znajomego.

— To mój siostrzeniec — dodała Wawrzycka. — Jerzy Nowowiejski.

— Ach, Jerzy Nowowiejski! Owszem! Znam go z czasów, gdy byłam jeszcze nauczycielką u Świejkowskich.

— Zaraz go tu pani zobaczy — podjęła znów Wawrzycka, wskazując laską, na której się opierała, odległy punkt na gościńcu.

Helena skierowała spojrzenie w tamtą stronę i zauważyła:

— Widzę tylko jakieś migające w promieniach słonecznych pręty koła.

— To rower...

— I przyczepiony do roweru jakiś kształt, jakby ciemną plamę wśród błyszczących promieni.

— To Jerzy. Często przy pogodzie wychodzę na przeciw i spotykamy się na drodze — uzupełniła Wawrzycka.

— Musi go pani bardzo kochać — zauważyła Helena, by tylko coś powiedzieć.

— Wychowałam go od kołyski prawie... Wcześniej stracił matkę. Ojciec jeszcze żyje. Ożenił się po wtórnie z wdową, która wniosła mu troje dzieci w małżeństwo. Nie chciałam, by Jerzy chował się z nimi razem.

— I nie opuściła już pani swego wychowanka — rzuciła Helena.

— To on mnie teraz opuścić nie chce — odparła dobrodusznie, nie odczuwszy ironji.

Umilkła. Właśnie nadjechał na rowerze Nowowiejski.

Helena ogarnęła go spojrzeniem i pomyślała:

„Wspaniały typ!”

Nowowiejski ukłonił się Helenie i począł się witać z ciotką.

— Czy nie poznajesz panny Waligórskiej? — spytała Wawrzycka. — To nasza nowa nauczycielka.

Nowowiejski ukłonił się raz jeszcze.

Helena wyciągnęła dłoń na powitanie.

— Starzy znajomi — rzekła.

— Może raczej odmłodzeni? — zapytał nie bez ironji.

Helena pomyślała, że zaczyna ją drażnić ten człowiek. Głośno zaś rzekła:

— Chce pan być jak najdłużej małym Jerzykiem u cioci...

— Przeciwnie, chcę być jak największym. Czy tylko przy cioci?... To będzie wątpliwe, bo szukam na gwałt żony.

Wawrzycka wtrąciła spiesźnie:

— To najrozsądniejsze, Jerzyku, co mógłbyś uczynić. Ożenić się!

Potem zapytała, wskazując mu paczkę, przyczepioną do roweru.

— Jakiż to gościniec przywiozłeś i dla kogo?

— Pani Świejkowska przysyła cioci pierwsze truskawki z inspektów.

Odwiązał paczkę od roweru. Wawrzycka skwapliwie wyciągnęła ręce.

— A to się cieszę, Jerzyku! Ty tak lubisz konfitury z truskawek...

Helena pomyślała:

„Nudzić mnie zaczyna ta sielanka rodzinna“!

Ustroiła twarz w uśmiech konwencjonalnej grzeczności i rzekła:

— Nie będę przeszkadzała. Zapewne spieszno wam na obiad do domu.

— Możemy razem pójść. Jedną nam drogą — odpowiedział Nowowiejski i spojrzał na Helenę z łobuzerskim uśmiechem.

Uśmiech ten podrażnił ją jeszcze bardziej.

Osądziła, że Nowowiejski, to kokiet, a jego ciotka jest nudną, starą panną.

Była zła na siebie, że nie potrafiła zdobyć się na jakieś powiedzenie, któreby dało poznać Nowowiejskiemu, że taka „zalotność męska“ jest w złym guście. Uczuła też przykre znużenie i najchętniej uciekłaby bez słowa pożegnania.

Nie zdobyła się atoli na szczerość. Bo i jakże powiedzieć tym ludziom, że męczy ją w tej chwili ich towarzystwo...

Tak szli więc razem, zbaczając na drogę, która wiodła do zakładu.

Nowowiejski jedną ręką popychał rower, a drugą podał ciotce; tak prowadząc ją pod ramię, często nachylał się ku niej i troskliwie przestrzegał przed wybojami na drodze, lub sam odsunął nogą kamień, żeby się nie potknęła.

Helenę drażniły te „czułości“. Nie chciała przyznać, że jest to naprawdę wzruszające i piękne. Pano-

wała jednak doskonale nad głosem i rozmawiała dalej z tą samą, co i pierwiej, towarzyską grzecznością.

Wypytywali ją o Warszawę. Jak tam wygląda. Czy istotnie dominuje nad wszystkim ta cecha, jaką Warszawie nadali nowi bogacze.

— Nie taką jest Warszawa, jak ją sobie wymarzyliśmy, że będzie po rozkuciu z niewoli — odpowiadała. — Panuje taki nastrój, jakby ciągle odbywały się tam kontrakty handlowe i jarmarki. Za dużo hałasu. Za wiele zjazdów. Jechałam tam przed niespełna rokiem z wielką w duszy tęsknotą, a rozczarowałam się okrutnie.

— Nie musiało tam być dobrze, skoro tak rychło wróciła pani znów na wieś. A może nawet żałuje pani, żeś tam pojechała — wtrąciła Wawrzycka.

— Nie! Nie żałuję. Wzbogaciłam zasób doświadczeń.

— Znać to po wyrazie twarzy. Wyczułem to od razu po zmienionym tembrze głosu — zauważył Nowowiejski.

— Czy aż tak bardzo?

— Bardzo i nie bardzo...

Nagle dodał:

— Dokonuje takich zmian wielki ból, lub miłość.

— Ależ Jerzyku! Jesteś niedyskretny! — wtrąciła znów Wawrzycka.

Wtedy Nowowiejski zwrócił się do Heleny i zapytał:

— Czy gniewa się pani za moją obcesowość?

— Niech mu pani zada pokutę — rzekła Wawrzycka.

— A więc gniewa się pani — wtrącił Nowowiejski.

— Nie gniewam się — odpowiedziała poważnie Helena.

— W takim razie będę pytał dalej. Pamiętam, że jadąc do Warszawy, wyraziła się pani: „Mam już dosyć tego wiejskiego pobytu”. Mimo to wróciła pani.

— Nie znałam wtedy wsi, a tylko obszar dworski.

— Ach? Więc tak szybko zdołała już to sobie pani uświadomić! To pięknie. Podziwiam bystrość umysłu.

— Nietylko bystrość umysłu! — podjęła Wawrzycka. — To jest przede wszystkim subtelna wrażliwość.

A kiedy Helena milczała uporczywie, podjęła znowu:

— Smutna pani. Czy zawsze tak? Czy też skutkiem zmęczenia po nużącej podróży?

— Zawsze jestem smutna — odpowiedziała cichym głosem.

— Rodzice żyją jeszcze?

— Nie, oboje już pomarli.

— Więc to taki sierocy smutek. Ale my tu nie damy się pani smucić. Pozbądź się pani u nas bardzo rychło tej niezdrowej melancholji.

A Nowowiejski wtrącił:

— Pamięta pani, co mówi wieszcz Juljusz w tej materji?... Dwie są bowiem melancholje...

— Zdaje się, że u mnie stwierdzićby można właśnie tę drugą melancholję, która jest kamieniem ludzi topiących się.

— Cóż znowu! — zawołała Wawrzycka.

— Czy nie pozuje pani przypadkiem na jakąś smętnicę? — zapytał Nowowiejski.

— Nie pozuje — odpowiedziała Helena. — Zmieniają się tylko u mnie nastroje. Pochodzi to zapewne stąd, że nerwy mam roztrzęsione.

— A więc skoro tak się pani sama kontroluje, jest nadzieja, że zmieni te swoje narowy. Czy pozwoli mi pani dopomóc w tem trochę?

— Owszem!... Proszę o to...

Mówiąc tak, czuła coraz większe znużenie.

Gdzież to ulotnił się zgryźliwy sarkazm, z jakim przyjmowała pierwsze odezwanie się Nowowiejskiego? Bezwolnie ulegać teraz zaczynała wpływom jego i Wawrzyckiej. Wprawdzie Nowowiejski wydawał jej się ciągle jeszcze nieznośnie zarozumiałym, a Wawrzycka nie przestawała być śmieszną, mimo to zwierza się im, poddaje się ich woli.

Co to jest? Co się z nią dzieje?

— Dopytywali się u mnie o panią — rzekł po chwili Nowowiejski, który postanowił przerwać „te nastroje”. — Odgaduje może pani, kto taki?

— Przypuszczam, że to pani Świejkowska.

— I ona również. Lecz pierwsza zagadnęła mnie o panią jej matka.

— Ach, pani Miarczyńska! Jakże się miewa?

— Zawsze bardzo starannie ubrana, dbająca o to, by zachować *prestige* sławnej ongiś piękności.

— A cóż porabia pan Świejkowski?

— I on także wyraził swoje zadowolenie z tego, że wróciła pani na wieś. Podług jego przekonania, życie w mieście jest katorgą. Co do pani Świejkow-

skiej, ta, jak zawsze, pełna rezerwy, oczekuje, że od-
wiedzi ją pani rychło.

— Tak... Wypada mi tam złożyć wizytę — rze-
kła Helena.

— Tak oficjalnie?

— A czyż może być inaczej? Wiem o tem, jaki
jest dystans między panią Świejkowską, a jej byłą
guwernantką.

— Pani Świejkowska nie da pani tego odczuć --
wtrąciła Wawrzycka.

— Zapewne! Ale ja to odczuję!

Nastało przykre milczenie.

— Mówmy o mniej smutnych rzeczach — podję-
ła znów Wawrzycka. — Oto postanowiłyśmy z Szcze-
panowską napaść dzisiaj na mieszkanie pani. Szcze-
panowska pozbierała jakieś obrazki. Ode mnie zaś
zechce pani przyjąć serwetę na stół.

— A co ja mam ofiarować pannie Waligór-
skiej? — zapytał Nowowiejski.

— Kilka książek z twojej biblioteki — odparła
Wawrzycka.

— Jacy wy dobrzy! — szepnęła Helenna.

— Tylko niech się pani nie roztkliwia! To nie ma
sensu! — zawołał Nowowiejski.

— Ma pan słuszność! Przyjemniej temu, kto da-
je, niż temu, kto bierze.

— Bardzo rozsądnie i ładnie to pani powiedzia-
ła — zauważyła Wawrzycka.

Rozległ się głos dzwonu.

Równocześnie zauważył Nowowiejski:

— To z wieży zakładu na obiad dzwonią. Widzę
też, że wysłał Zarebiankę po pannę Helene.

Zbliżyła się Zarębianka. Nowowiejski zaczął się z nią przekomarzać, przypominając jej ostatni artykuł w „Przodownicy”, na który z pewnością zwróca uwagę w sejmie, gdzie już przygotowują dla niej miejsce, jako dla posłanki.

— To chyba będzie musiał ustąpić mi z drogi niejeden osioł — odcięła się dziewczyna.

— Dobrze ci tak, Jerzyku! — zawołała Wawrzycka i uśmiechnęła się przyjaźnie do Zarębianki.

Potem zwróciła się do Heleny, przypominając „napad” koleżanek.

— Jeśli pani pozwoli, to i ja się zjawię z ciocią — dodał Jerzy.

— Zabraknie krzesła dla pana.

— Tem lepiej! Nie przystawi mi nikt stołka przed panią.

— Kto wie!

— Właśnie tego się obawiam.

I spojrział na Zarębiankę.

Ta rozmawiała z Wawrzycką i zignorowała Nowowiejskiego.

— Już tam posłali obiad z zakładu. Śpieszcie się państwo, bo jedzenie wystygnie — zauważyła.

(Helena dowiedziała się przy tej sposobności, że z kuchni zakładowej wydają obiady i kolacje do mezażek rozmaitym we wsi stołownikom).

Pożegnali się spiesźnie.

— Musi pani być bardzo głodna — rzekła Zarębianka, prowadząc Helenę do jadalni. — Pozwoli pani, że usiądę w najbliższem sąsiedztwie, żeby nałożyć obficie na talerz. Spróbujemy tu panią odżywić.

Helena nic na to nie odrzekła.

Uświadomiła sobie, że nie potrafi wystąpić z tą stanowczością, któraby ją uchroniła od „nieproszonej opieki” i „protekcjonalnej życzliwości”. To ją zgnębiło jeszcze więcej i odebrało ochotę do rozmowy.

*

*

*

Pierwszego wolnego dnia wybrała się z wizytą do Świejkowskich.

A miała dużą treść przed tem spotkaniem.

Niepokoilo ją to, że mogliby się tam poznać na przemianach, jakie się w niej dokonały i przyjąc bardzo chłodno, dając temsamem odczuć, jak znaczne dzielą ich różnice towarzyskie.

Przyjęto ją nader serdecznie.

— Bardzo się cieszę, że mamy tu panią tak blisko — rzekła Świejowska.

A matka jej dodała:

— Bardzo się cieszymy, że to właśnie pani, panno Heleno, otrzymałaś tę posadę.

Świejowski, który właśnie wrócił z objazdu po folwarkach, i, jak zsiadł z konia, tak wszedł do salonu, zawołał, gdy zobaczył Helenę:

— A co! Znów nasza!

Dostojność biła od jego postaci.

Najsympatyczniejszym wydawał się zawsze Helenie Świejowski. Nazwała go raz żartobliwie księciem Panie Kochanku. Lecz on był urodziwszy, a przytem wytworny, tą nienarzucającą się wytwornością, która zresztą kryła się w jowialności.

Potrącono zlekka w rozmowie o sprawy państwowe. Oczywiście były to tylko ogólności.

W kwestji reformy rolnej zadała jakieś pytanie Miarczyńska. Mówili o tem z niedającą się opisać urazą.

— Będziemy mieli chłopską Polskę — zaśmiał się nie bez ironji Świejkowski.

A żona poprawiła:

— Niech by była ludowa, ale nie chamska.

Helena zaczęła mówić o nowych wartościach, które sprowadziła wojna.

— Nietylko, że odzyskaliliśmy Polskę, ale ustrój społeczny musi się zmienić i to zmienić na lepsze — rzekła.

Ale Świejkowski rzekł:

— Jak daleko patrzę wstecz, w dzieje i rozwój społeczeństw, nigdzie nie mogę dostrzec, aby wojna jako taka, gdziekolwiek i w jakimkolwiek czasie, sprowadzała za sobą sama przez się, nowe wartości i to wyższe od poprzednich. Przeciwnie! Widzę, że wojny często wstrzymywały rozwój, lub co gorsza, podrywały wprost podwaliny kulturalne społeczeństw, że przypomnę tylko wyprawy krzyżowe, wojnę trzydziestoletnią i wojny Napoleońskie. A jeżeli gdzieś po wojnach, dawała się odczuć większa ekspansja sił kulturalnych jakiegoś społeczeństwa, było to tylko wynikiem poprzedniego rozwoju kulturalnego, tak silnego, że wojna go tylko wstrzymała chwilowo, ale nie zdołała złamać. A ze stanowiska ogólnego ta ekspansja i w tym wypadku bywała często problematyczną, bo działo się to kosztem innych społeczeństw. Polska odzyskała po tej wojnie swoją państwowość. Ale rozejrzyj się po dzisiejszej Polsce, a zobaczymy co?

Chaos! Daj Boże, aby z tego chaosu ojczyzna nasza powstała piękniejsza i lepsza.

— Miejmy nadzieję — szepnęła Miarczyńska.

— Ja wierzę — rzekła z mocą Helena.

— W co pani wierzy? — zapytał z dobrym uśmiechem Świejkowski.

— Wierzę, że Polska odrodzi się do pełni bytu politycznego i kulturalnego prędzej jeszcze, aniżeli możemy dziś przypuścić.

— Amen! — zawołał Świejkowski.

Dyskusja urwała się, bo odwołano Świejkowskiego do kancelarii, gdzie czekali kupcy na zboże. Podano także podwieczorek. Przy herbacie i ciastkach gawędziły panie z Heleną bardzo łaskawie, ale było to dosyć nudne.

— Chciałabym powitać moje umiłowane ongiś miejsca w parku — rzekła Helena po godzinie takich nudów.

I wybiegła do parku sama.

Musnęły ją po twarzy promienie słoneczne; odczuła je, jak przelotne pocałunki kochanych ust.

Słońce zniżało się coraz bardziej na nieboskłonie. W parku zaś rozżarzyły się ogniste blaski i przeświecały między listowiem drzew, niby łuna pożaru.

Stanęła na tarasie pawilonu, bielejącego w otoku krzewów wawrzynowych; smukłe kolumnienki podtrzymywały dach ostrołukowy, a z trzech stron prowadziły w dół, do parku, szerokie, kamienne schody.

Przybiegła tu, żeby z wysoka jednym spojrzeniem, ogarnąć możliwie największą przestrzeń parku i przypatrzeć się, jak słońce zachodzi.

Nie zaszło tak prędko. Zdawało się nawet Helenie, że stanęło i stoi, spoglądając na nią wzajem.

— Halo! Cóż tam pani robi? — usłyszała niespodzianie z dołu, głos Jerzego.

— Przypatrywałam się, jak słońce zachodzi — odrzekła.

Zeszła po kamiennych stopniach na dół i podała Nowowiejskiemu rękę na powitanie.

A on, zatrzymując jej dłoń w swojej dłoni, odsunął się na pewną odległość.

— Ależ pani w tej chwili piękna!... Cóż panią tak wzruszyło?

— Niech mi pan komplementów nie prawi! I to w takim tonie!

Wyrwała rękę i poszła przodem.

— Szkoda! Zepsuła pani nastrój tego spotkania! — zaczął Jerzy, idąc za Heleną.

— To pan mi zepsuł nastrój tej chwili! — wybuchnęła.

— Jakiej chwili? — zapytał.

— Tej, co minęła, zanim się pan pokazał. Chciałam być sama.

— I cóż pani mądrego wymyśliła w samotnej zadumie?

— Ach!... Wybrał pan sposób drażnienia mnie!... Winszuję!

— Czyżby sukcesu?

— Przegranej!

Stanęła i spojrzała mu w twarz z błyskami gniewu w pociemniałych oczach. Zobaczywszy zaś roześmiane jego oczy i usta, rzuciła:

— Wolę wracać pieszo, a z panem nie pojedę!

I uciekła.

Dogonił ją i prawie przemocą zatrzymał.

— Zwarjował pan?... Proszę mnie puścić! Panu się może zdaje, żeś spotkał jakąś Marysię, czy Kasię z fabryki!

— No, umie pani kłuć, jak osa!

Puścił jej ramię tak gwałtownie, że aż zatoczyła się. I byłaby upadła, gdyby w porę nie uchwyciła się pnia akacji.

Drżąc ze zdenerwowania, och, jakże żałowała poprzednich słów, wyrzeczonych tak niebacznie!

(Raczej intuicyjnie zmiarkowała, że popełniła gruby nietakt).

Zauważyła też, że szare oczy Jerzego, mieniające się w uśmiechu szafirowemi blaskami, lśniły teraz, jak stał w cieniu długich, czarnych rzęs i gęstych brwi. Smagła jego twarz pociemniała, zadrżały mu nozdrza, a czerwone, kształtne usta skrzywiły się brzydko. Parę razy podniósł rękę, by gwałtownym ruchem przegarnąć palcami czuprynę, której jeden dłuższy kosmyk uparcie zsuwał mu się na silnie sklepione czoło. Był fascynujący w tym wybuchu gniewliwego uniesienia.

— Ach! Jakżebym ja panią w tej chwili o tak... zgniótł!

— Panie Nowowiejski!

— Niech się pani nie boi! Umiem się opanować. Przywarł spojrzeniem do jej strwożonych oczu.

— Będę panią miał, gdy zechcę.

Dosłyszała ten szept.

— Nieprawda!

— A tak!

— Nieprawda! Nie!

— A tak! A tak! A tak!

— Śmieszne!

— Nie będzie śmieszne! Nie!

— Niech mię pan nie straszy i nie myśli, że ot, głupia, wiejska nauczycielka, da się złapać na wędkę!

— Co ja myślę, to już moja rzecz!

— Pan oryginalnie sobie poczyną! Nie pojmuję, co upoważnia pana do takiego obcesowego starania się o... moje względy...

— Wcale się nie staram o względy pani. Takie kobiety trzeba brać terorem.

— O czym pan mówi?!...

— Niech pani nie udaje niewiniątka. Chyba nie przypuszcza pani, że dam się złapać na jakieś minki podlotka... A zresztą, dzisiejsze podlotki także już o tyle rozsądniejsze od przestarzałego typu panien, że są szczerze. Czemu nie chce, czy nie umie pani zdobyć się na tę piękną szczerłość w stosunku do mężczyzny? Po jakiego licha postępuje pani tak, jakbyś należała jeszcze do mamutowych okazów?... A co? Oszołomiona pani? Odchodzę. Niech pani o tem wszystkim pomyśli i zmieni taktykę.

Uklonił się i odszedł, napozór zupełnie spokojny.

A w niej każdy nerw drżał.

Dlaczego ją to spotkało? Co w niej takiego jest, co ośmiela mężczyzn, że atakują ją, jakby była zwierzyną dla nich?

Tu nagle przypomniała sobie słowa Świejkowskiej.

„Utleniła pani włosy. Owszem, ładnie pani z tem, ale może to trochę nadto zalotne, bo już i bez tego wygląda pani efektownie”.

A Miarczyńska dodała z łagodną wymówką:

„To nie dla takich kobiet. Szkoda także psuć włosy przypiekaniem loków. Niech pani wężej tego nie robi”.

Helena przywykła w Warszawie do tej rozstrzępionej fryzury. To było tam modą, prawie obowiązującą, upodobnić się do kokoty.

Że też Przesławska nie zwróciła jej uwagi na niestosowność tej fryzury. Powiedziała tylko, że jest estetką i strojnisią i że „leca na nią mężczyźni”.

...„Widzą we mnie łatwy łup — pomyślała teraz Helena. — Naturalnie! Dlatego, że samotna i biedna. Musiałabym zrobić z siebie czupiradło, jak to uczyniła Przesławska” — przypomniła sobie znowu.

Ogarnęła ją jakaś zła przekora.

...„Otóż nie zrobię z siebie czupiradła i będę się broniła. Nie dam się spieszyć”.

Wyjęła z torebki lusterko i pudełeczko z pudrem; musnęła puszką po nosie i policzkach, a przypatrując się sobie z upodobaniem, zapomniła potrosze o doznaniem przed chwilą wzruszeniu.

Z całą też poprawnością dobrze ułożonej osoby wróciła potem do salonu.

Przywitały ją tony „Koncertu” Mendelschona, granego na dwa fortepiany. Przy jednym fortepianie siedziała Świejkowska, przy drugim zaś Nowowiejski.

Świejkowska grała, silnie podniecona. Stłumiono w niej kiedyś porywy i ambicje artystyczne, ale to się mściło. Zawsze przy fortepianie zatracala się.

Jerzy prowadził part akompaniamentu spokojnie i wytrawnie.

— Już późno; muszę wracać — rzekła Helena, korzystając z przerwy po odegraniu drugiej części „Koncertu“.

Świejkowska ani słyszeć o tem nie chciała.

— Coś proponuję... Może zostanieie u nas na kolacji? Ależ tak! Doskonale!

— Zastanów się, Iruś — wtrąciła Miarczyńska, zwracając się do córki — Panna Helena nie może po nocy wracać z panem Nowowiejskim.

— To zanocuje u nas i jutro rano ją odeślemy! — zawołała Świejkowska. — Panu Nowowiejskiemu zaś wszystko jedno, kiedy pojedzie. A więc gramy dalej...

— Owszem! — przyświadczył Jerzy.

Zdawać się mogło, że to zahuczała kaskada i z szumem waliła o głazy. Ale już w ten szum i łomot wpadły tony inne. Rozdzwoniła się w perlistych pasażach melodia... A potem... jakby hymn do Boga przy wtórze organów.

Nagle Świejkowska urwała w połowie akordu. A gdy Jerzy grać nie przestawał, zawołała niecierpliwie:

— Przestań pan!

Nowowiejski podniósł głowę z nad pulpitu.

— Co się stało?

Miarczyńska zastąpiła córkę w odpowiedzi.

— Niech pan spojrz.

I bardzo ładnym gestem wskazała w stronę otwartych podwoi.

— Ksiądz proboszcz Pogonowski! — zawołał Jerzy.

— On sam, w okazałej swej objętości — odpowiedział ksiądz.

Helena zaczęła słuchać uważnie... Timbre głosu łagodny i świeży...

Cóż to za kontrast z tą olbrzymią figurą, dźwigającą taki nadmiar tłuszczu! Głowa, stosunkowo mała, na byczym karku; nos, podobny do skrzywionego korniszona, a w dodatku pokryty wypryskami.

...Lecz ta jego brzydota posiada dużo charakterystycznego wyrazu — musiała w końcu przyznać.

— Miłą niespodziankę zrobił nam ksiądz dobrodziej — witała gościa serdecznie pani Świejkowska.

— A to mnie psujecie! — ucieszył się ksiądz.

Posuwistym krokiem zbliżył się do pani Miarczyńskiej i pocałował dwornie podaną mu rękę, potem, nieczekając, aż mu kto Helenę zaprezentuje, sam jej się przedstawił. Na ostatku dopiero przywitał się z Nowowiejskim.

Helena patrzyła ze wzrastającym wciąż zajęciem na księdza Pogonowskiego.

I żał jej się zrobiło, że musi już odejść.

Zaczynała się żegnać.

— Iruś! — przyzywała Miarczyńska córkę. — Panna Helena już nas opuszcza.

— Panna Helena teraz zostanie! — zawołała Świejkowska i posadziła ją napowrót na krzesło.

— Miła despotka z pani dobrodziejki! — zaśmiał się ksiądz.

— Ze zbuntowanymi gośćmi tak trzeba! — broniła się Świejkowska. — Bo wy nie wiecie, że tę pannicę zrewolucjonizowała w Warszawie jej nowa przyjaciół-

ka, Przesławska! Muszę ją więc znowu ująć trochę w karby, żeby nie buntowała się więcej.

Helena została na kolacji i było już około północy, kiedy w towarzystwie księdza Pogonowskiego, razem z Nowowiejskim, wracała do zakładu.

Jasno przyświecał księżyc, niebo miało szafirowe blaski, wśród obłoków z pozoru tak lekkich, jak indyjskie muśliny, błyszczały gwiazdy.

W powietrzu unosił się zapach świeżo skoszonych traw i kwitnących akacyj.

Było w tem wszystkim coś odurzającego.

Wtem spłoszyły się konie. Ujrzały swój cień na gościńcu, razem z cieniami drzew, przy drodze rosnących, więc się zaniepokoiły.

Helena, w obawie, że powozik się wywróci, chciała wyskoczyć.

— Niech się pani uspokoi — zawołał ksiądz. — Walenty silnie trzyma cugle i ujarzmi koniska.

Zwrócił się do siedzącego naprzeciw Nowowiejskiego.

— A panu nie bardzo wygodnie być musi na tej wąskiej ławeczce, he? Nie wypadnie pan?

— Nie wypadnę, bo siedzę mocno. Ksiądz proboszcz może być o mnie spokojny — odparł Jerzy dość opryskliwie.

Zły był, iż tak długo zostali u Świejkowskich i, że wraca teraz nie we dwójkę z Heleną, na co przecie liczył, przedłużając rozmyślnie dzisiejszą wizytę. Uświadomił sobie, że coś się psuje w jego zamierzeniach. Odezwały się w nim pewne wątpliwości, czy nie posunął się za daleko w taktyce zaczepnej. Helena działała mu na zmysły. Już podczas pierwszego z nią

spotkania uczuł nieprzepartą ochotę, by porwać ją w ramiona i wpić się ustami w jej wargi purpurowe, z za których błyszczały dwa rzędy ostrych, małych ząbków, ułożonych w formę nieskazitelną. (Usta Heleny były istotnie kuszące, zwłaszcza w uśmiechu).

Wpatrując się w jej oczy, odgadywał, że zna już tajemnice miłości i że nie obcy jej głód podrażnionych zmysłów.

Mówił do niej inaczej, niż podczas dawniejszych z nią spotkań, gdy była jeszcze nauczycielką małych Świejkowskich.

Pewnym był, że Helena mu ulegnie jak ta, która sama nie wie, dlaczego oddaje się mężczyźnie.

Czyżby się miał mylić?

W takim razie trzeba będzie przeproszać długo i wysługiwać się, jak o pannę na wydaniu.

Uśmiechnął się do swoich myśli. Tak, czy owak, pewnym był wygranej.

— Nad czym pani znowu tak się zadumała? — zapytał, nachylony ku Helenie. — Księżyc oświeca twarz pani i kładzie przedziwne blaski na włosy i oczy. Włosy pani świecą teraz, jak srebro, a oczy stały się zagadkowe, jak Sfinks.

— Niech pan nie usiłuje rozwiązywać zagadek sfinksowych; można oślepnąć z tego.

Tu ksiądz przerwał:

— A to dobrze, że was słyszę rozmawiających. Sądziłem, żeście się o coś posprzeczali i wracać będziemy, jak ludzie, którym coś obciąża sumienie.

— Albo żołądek! — wtrącił Jerzy.

Na tę uwagę rozśmiał się ksiądz serdecznie.

— Nieźle powiedziane! — zauważył.

Po chwili rzekł:

— Wy młodzi lubicie mocne wyrażenia!

— Szczere, bezpośrednio! Ekspresjonistyczne! — śmiał się znów Jerzy.

— Acha!... — zawołał ksiądz. — Otóż to! Ekspresjonizm! Wytlumaczcie mi, proszę, co to za lichol!...

— Ekspresjonizm, do którego zaliczyć trzeba kubizm i futuryzm — podjęła Helena — ma to być sztuka, wypływająca z bezpośrednio odczutyh przy tworzeniu wrażeń. Wypowiada walkę starym formom i prorokuje zbawienie Europy przez nową sztukę, która ma odrodzić naszego ducha z więzów materjalistycznego pojmowania dziejów.

Wyrecytowała to jednym tchem.

— Aa?... Więc pani zna te nowoczesne kierunki w sztuce? — zwrócił się ksiądz do Heleny, mocno ożywiony. — Czy interesuje się pani może specjalnie tymi kierunkami?

Helena nie odpowiedziała odrazu; uczuła jakby gwałtowny napływ krwi do serca. Przypomniał jej się Szeligiewicz.

Czy oni tu znają jego wiersze? Korciło ją, by wymienić jego nazwisko, lecz poniechała tego.

Mogliby wydrwić, lub powiedzieć coś obojętnego; zgasiliby wszystkie iskierki, które wydobywają się z pod warstwy popiołu.

Iskry... ożywiające wspomnienia...

Rozpętała się w niej tęsknota. Ach, jakże pięknem było to uczucie, jakie tamten przyniósł jej w darze! Dar jego, jak bezcenny klejnot, przechowa. Nie zmarnotrawi, nie rozprószy. Jak sznur pereł, w chwili gniewu

rzucany gdzieś na dno skrzyni i przywalony ciężarem, wyciągnie ostrożnie i z trwogą, czy nieuszkodzony.

List jego ostatni...

Zaczęła odpowiadać księdzu. Powoli, bo ciężko jej było rozstawać się ze wspomnieniami.

Mówiła o wystawie obrazów, którą niedawno temu urządzili w Warszawie ekspresjoniści. Na obrazy ich, zwłaszcza futurystów i kubistów, patrzała ze zdziwieniem, mało je odczuwając, bo już o zrozumienie ich wcale się nie siliła, tembardziej, że ekspresjoniści nie oczekują zrozumienia, ale odczucia ich sztuki. Podobały jej się tylko obrazy Pronaszkii. Tam było coś, co brało jakby za łeb i zmuszało wpatrywać się w te obrazy długo, aż się je wchłonęło w pamięć i w duszę. Ale inni wydali jej się jako poszukiwacze nowych form. Co do poezyj ekspresjonistów, wie głównie tyle, że ta poezja zerwała ze starą formą, która, według orzeczenia tych poetów, zabiła treść, zabiła prawdę; a oni pragną, by sztuka, by piękno, były identyczne z prawdą. Ekspresjoniści w najrozmaitszych odcieniach i kierunkach, jak futuryści, kubisci i dadaisci, głoszą, że niema piękna bez prawdy, a najstraszniejsza prawda posiada swoje piękno. Ekspresjonizm nie chce być „sztuką dla sztuki“, lecz sztuką życia, stanowić życie samo. Chce ogarnąć wszystkich ludzi, cały naród, ludzkość całą. I nie forma będzie potęgą tej poezji, ale treść. To, co poeta czuje, wypowie w formie dowolnej, nie dbając o utarte kanony. Poezja będzie, jak muzyka, dbała przede wszystkim o nastrój. A nastrój ten winien być rzetelny, nie sztuczny. Winien wypłynąć z najczystsze go natchnienia, niekrępowanego formą...

— No, no!... Zobaczymy!... I cóż jeszcze za hasła głoszą? — przerwał ksiądz.

— Ekspresjoniści nie powiadają, jak to ich zdyskredytować usiłują niechętni im, że oni pierwsi głoszą wysokie cele sztuki. Od wiek wieków poeci szukali odpowiedzi na trawiące ludzkość zagadnienia. Poezja zawsze była wyrazem tęsknot i pytań, które dręczyły twórców i ludzkość całą. Więc i dawna poezja nie była błędem, ani pomyłką. Każdy czas ma swoją poezję. Dzisiejszym czasem, po bankructwie materjaliźmu nie odpowiada sztuka wczorajsza. Dalej głoszą ci nowi poeci, że ich sztuka jest nowym romantyzmem, który mimo trudności zwycięży tak, jak romantyzm zwyciężył klasycyzm.

— Bardzo pani dziękuję — rzekł ksiądz. — Lecz, czy można wiedzieć, skąd pani zna to tak dokładnie?

— Owszem!... Mogę powiedzieć... Mam... znajomego poetę z tego obozu walczących. Wygłosił raz odczyt o kierunkach i celach tej nowej poezji. Zapamiętałem w streszczeniu to, co powiedział.

— I jest pani, jak miarkuję, zwolenniczką tej nowej poezji?

— Potrosze tak. A ksiądz proboszcz, czy widział obrazy ekspresjonistów?

— Widziałem! Wystawiono je wtedy w Krakowie. Chodziłem po salach wystawowych trochę zmieszany. Ale emocja była silna... Niema co!...

— Nareszcie! Nareszcie właściwe określenie — zawołał Jerzy. — Winszuję księdzu tej zdolności odczuwania. I przyznaję, że nie byłbym księdza posądził o taką wrażliwość naprawdę młodą i świeżą.

— Więc wydają się panu taki już zaśniedziały? Ano!... Obrósł ksiądz w sadło i trudno w to uwierzyć, żeby go coś bardziej zajmowało, nad dobry obiad, albo taka kolacja, którąśmy przed godziną zjedli u Świejkowskich. Bajecznie tam jeść dają! Tak... tak! „Niech nad całym światem wojna! Byle polska wieś spokojna!” No, i takie dwory widać się przechowywały, i to z wszystkimi tradycjami przedwojennych czasów.

— To dziwne! — zastanawiał się Jerzy. — Ksiądz proboszcz wydaje mi się w tej chwili innym, niż był tam, w salonie u Świejkowskich, innym, niż bywał dawniej.

— A bo widzicie, moi kochani, to jest takie księzowskie prawo przystosowania się. Lecz nie myślcie, jakobym nie czuł się równie dobrze w towarzystwie waszem, jak i w towarzystwie pani Miarczyńskiej, czy pana Świejkowskiego i pani Świejkowskiej. Interesują mnie oni; interesujecie i wy także. Interesuje mnie także Walek, którego tu widzicie na koźle.

— Ksiądz widocznie patrzy na człowieka, jak na część kosmosu — podjęła Helena.

— Niech pani nie przesadza. Przeciętny ze mnie inteligent. Nie czułem w sobie nigdy orlich skrzydeł, ale zajmowało mnie wszystko, z czym w życiu się zetknąłem; a zajmowało nieraz bardzo żywo, choć nie umiem reagować na wrażenia tak intensywnie, jak to pan Jerzy może przypuszcza. Dziś tembardziej... przy mojej tuszy, która pewnie, że i wam także zawadza, bo tu najwięcej miejsca zająłem i ciasno tak, że aż panna Waligórska skuliła się w kąciuku.

Helena zaprzeczyła, twierdząc, że siedzi wygodnie.

— Ksiądz proboszcz wydaje mi się bardzo, ale to bardzo „człowieczy”. Ksiądz proboszcz działa bardzo kojąco i musi mieć bardzo piękną duszę — podjęła znów rozmowę.

— No, no! A tom wywołał całą litanję komplementów! Dziękuję się panience pięknie i w pamięci wdzięcznej te komplementy zachowam. Wszakże, jeśli pozwolicie, wrócimy jeszcze raz do dyskusji o futurystach. Mnie te rzeczy świeka w głowę wbiły i rad bym się odeń uwolnić, choćby przez wymianę zdań...

Tu ksiądz zwrócił się do Heleny.

— Miarkuję, że pani interesuje się tymi kierunkami w sztuce — powtórzył.

— Owszem! Ale nie umiałabym dać księdzu żadnych wyjaśnień fachowych. Trochę nazwisk poetów i artystów, parę ogólników o kierunkach i celach tej poezji i sztuki... To już wszystko.

— A właśnie!... O tych celach, jakie sobie wytknęli, chciałbym jeszcze usłyszeć i poproszę panią kiedyindziej o to, choćby to miały być tylko „ogólniki”. Teraz wszakże chodzi głównie o co innego. Mianowicie: Jak wy młodzi odczuwacie tę nową sztukę. Bo mnie właśnie, kiedym wtedy chodził po tej wystawie futurystów, zastanowiły tłumy młodzieży, zwiedzającej wystawę. Podrastające panienki i młode chłopaki. Co tę młodzież przygnało. Czyżby tylko nowa moda? Albo szukanie nowej emocji?

— Zapewne, że i to także! — wtrącił szybko Nowowiejski. — ...Moda!... Lecz trzeba przedewszystkiem stwierdzić jedno: Obecne pokolenie posiada nad-

zwyczajny, poprostu chorobliwy głód wrażeń coraz to silniejszych. Zważmy, jakich to wypadków byliśmy świadkami; w jakim tempie szło życie ostatnich lat. Co było przedtem olbrzymie, zmalało teraz w wyobraźni i straciło już potęgę oddziaływania w takim stopniu, jak to odczuwaliśmy jeszcze niedawno. Jakby przybladły nagle barwy na obrazach, które niegdyś podziwialiśmy tak bardzo. Wczorajsi prorocy wydają się tylko czcigodnem wspomnieniem, dla wielu zaś wspomnieniem bez czci. Oczekuje się nowych proroków. Znaki, zwiastujące nową erę, widzieliśmy w płomiennej łunie pożarów, które oświeślały widma wojny i zjawę walących się tronów. Nastały nowe czasy. Do władzy i znaczenia pchają się nowi ludzie. Ale to wszystko wygląda inaczej, nie tak wspaniale i cudownie, jak się tego spodziewaliśmy. Polska powstała. Jakto? Więc tak wygląda ta zmartwychwstała Polska? Kto jest zadowolony? Ludzi ogarnia zgnębienie. U wielu widzę apatię, lub niedowierzanie. Co było w ich pojęciu cudem, wydaje się im teraz czemś zwyczajnem. Oswoili się z tym „zrealizowanym cudem”, jak oswoił się człowiek z wszystkimi tak zwanymi cudami. I znowu ludzie czekają na coś niezwykłego. Starsi z apatią, młodszy niecierpliwie. Wśród tego młodego pokolenia wielu jeszcze ogląda świat pod kątem sztuki. Sztuka zbawi świat, głoszą nowi poeci i nowi artyści. Przychodzi garstka młodzieży na wystawę futurystów, lub na wieczór autorski najnowszych poetów i szuka tu objawień. Widziałem, obserwowałem. Jedni wychodzą tragicznie smutni, ale piękni w tym smutku, który z pewnością uszlachetni ich dusze. Drudzy są oszołomieni. A są i tacy wśród

nich, którzy wyglądają na rozczarowanych. A podczas tego są jeszcze inni, którzy sobie z tego podrywają i bawią się, jakby to była arlekinada. W każdym razie mają emocję.

Urwał i zaczął już innym głosem:

— Muszę przeprosić!... Odbiegłem nieco od właściwego toku myśli. Lecz dygresje moje łączą się ściśle z przedmiotem, o którym mowa. Reasumując spostrzeżenia, kończę tem, że mnie osobiście wydaje się ekspresjonizm w sztuce tragicznem zmaganiem się. Tragizm tego zmagania odczuwa najintensywniej młodzież, jako najbardziej wrażliwa i chłonna część społeczeństwa.

Umilkł nagle. Konie, szarpnięte gwałtownie, osadziły powozik na miejscu.

— Coś się tam stać musiało — szepnęła Helena.

— Coż tam za przeszkoda!? Hej! Walenty! — zawołał ksiądz.

Parobek na koźle zwrócił nieogoloną, dużą twarz w stronę księdza, a równocześnie wyciągnął biczysko w kierunku gąszcza drzew, po lewej stronie gościńca.

— Słowiki, proszę księdza jegomości. Trza posłuchać śpiewania.

Zrobiła się cisza w powozie i wśród tej ciszy rozebrzmiały wyraźnie słowicze trele w pobliskim gaju.

Między obłokami przemykał się księżyc. Na fiolet mroku, który otulał wieś, kładła się miejscami sienna poświata, a w niej występowały tylko wyraźnie dolne partje chat, świecąc taką białością, jakby miały ściany z marmuru. Drzewa dokoła tworzyły zwartą płaszczyznę i znaczyły się jeno ciemnymi plamami.

Zaś wysoko, w szarych mrokach zawieszone, błyszczały tu i ówdzie jakieś samotne światełka, promieniując w omglonej przestziżeni, niby złote oko opatrznosci u ołtarza. Gdzieś tam jeszcze czuwał ktoś po nocy. Ktoś walczył może ze śmiercią, lub chorobą. Ktoś się bawił, lub pracował. Ktoś wreszcie świecił ze strachu przed widmem ciemności nocnych.

Słowik tymczasem śpiewał pieśń miłości.

Zniżając głos prawie do szeptu, mówił Walenty, przeginając się ku siedzącym w powozie:

— Jest coś, czego panna w mieście nie posłyszysz. A ksiądz jegomość zawsze przystawać każą, kiej usłyszają, że słowik w gęstwinie się odzywa.

— Samiec wabi samiczkę. Czy pani to słyszy po raz pierwszy? — zapytał Jerzy cicho.

— Nie! Ale dla mnie będzie to zawsze... cudem.

— W takim razie winszuję!

Zdawali się oboje nie zważać na księdza, który teraz z przymkniętymi oczami trwał w cichej zadumie, uśmiechając się błogo, kto wie, do jakich wspomnień.

Za chwilę powozik ruszył z miejsca.

— Minęły czary — zaczął Jerzy.

— Słowik przestał śpiewać! — obwieścił Walenty i śmignął batem.

Konie rwały już odtąd naprzód, czując, że zbliżają się do stajni.

Jechali teraz w milczeniu. Ksiądz był znużony, a Jerzy myślał o tem, jak urządzić jutro (nie chciał długo zwlekać) spotkanie z Heleną i to bez świadków oczywiście; ona zaś z rozbudzoną raz myślą o Szeli-giewiczu, wracała wciąż do dawnych wspomnień.

Wjeżdżali już do „kolonji” i mijali po drodze małe domki naprzemian murowane, to znów budowane z tarcic i obrzucone gliną, po wierzchu zaś bielone, na wzór tych, jakie po wsiach polskich stawiali dawniejsi koloniści niemieccy.

Wieś ta miała wygląd zgoła inny, od wsi sąsiednich i słusznie może zwano ją „kolonją”, zwłaszcza tę część, której ośrodkiem niejako był duży parterowy budynek *Szkoły gospodarstwa domowego*.

Okna we wszystkich domkach kolonji były duże, przybrane firankami, a w doniczkach na oknie rosły pięknie rozkwitające szkarlety. Wszędzie brama wchodowa zdobna w rzeźbę; przed domkiem zaś ogródek kwiatowy, a widne dokoła obejście, zalecało się szczególnym ładem.

Na wzgórzu stał kościół, a na plebanję wjeżdżało się pod górkę, ale już boczną, wiejską drogą.

Walenty zaczął nawracać tam konie, gdy ksiądz zawołał:

— Prosto przed siebie gościńcem wal, durniu, aż powiem: stój!

I oto Walenty znów szarpnął cuglami w przeciwną stronę, a konie ze zdziwienia parsknęły kilka razy, gniewnie, uderzając kopytami o ziemię, wysypaną zwierem.

— U Ponierzyckich jeszcze się świeci — zauważył ksiądz, gdy mijali biały domek, otoczony girlandami pnących się róż, z ganeczkiem w pośrodku i małym ogródkiem kwiatowym, skąd, jak z kadzielnicy, unosiły się mocne, żywiczne wonie.

— Widać, czuwają tam ludzie — wtrącił Jerzy.

— Przy dzieciątku matka czuwa — podjął ksiądz.

— A więc proboszcz już wie o tem, że w tym przybytku dla kultu piękna, rozwieszono teraz dziecinne pieluszki?

— Jakżebym o tem nie miał wiedzieć, skorom dziecko to chrzcił. A czy kultowi piękna przeszkadza ją pieluszki? Ha, być może!... Przekonamy się zresztą.

— Owszem! Przekonamy się! Ale ksiądz proboszcz pozwoli, że tu wysiadę. Tędy, na przełaj, zajdę prędzej. A gdzie panna Waligórska mieszka, ksiądz proboszcz wie?

— A gdzież? Chyba nie gdzieindziej, jeno w zakładzie?

— Nie mieszkam w zakładzie — sprostowała Helena. — Dali mi pokój w chacie Mrawicowej, wdowie po maszyniście Mrawicu. Tam mieszkała moja poprzedniczka.

— Aha! Już wiem!

Ksiądz kazał Walentemu stanąć i Jerzy wysiadł.

— Dobranoc księdzu! Dziękuję za podwiezienie. Pannie Waligórskiej życzę miłych snów po tej przejażdżce.

Jerzy uklonił się Helenie i uściśnął podaną sobie dłoń księdza, poczem już nie czekając aż powozik odjedzie, przeskoczył rów i wnet zniknął wśród opłotków.

— Jazda! — zawołał ksiądz. — A uważaj Walenty, że teraz masz przystanąć przed chatą maszyniściny.

Walenty gwizdnął na konie. Ruszyły rażno na przód.

— Więc pani u Mrawicowej mieszka? — podjął ksiądz, zwracając się do Heleny. — I jakże tam pani jest? Czy dobrze?

— Owszem! Bardzo miły pokoik teraz, kiedym go trochę ustroiła. Przed chatą, w ogródku, rosną malwy, lewkonje i goździki. Mrawicowa zasadziła też rezedę. Więc będzie pachniało, gdy to wszystko rozkwitnie. Na razie rozkwitnęły już lilje, a róże mają, o, takie duże pączki, i niech jeszcze tylko dwa dni tak słońce przypieka, a rozkwitną mi pod samem oknem.

— O ile zmiarkować mogę, to pani jest miłośniczką kwiatów?

— O tak! Bardzo lubię kwiaty.

— A które najbardziej?

— Bez liljowy.

— To kwiat szczęścia.

— Wiem...

Załomotało w niej serce.

Kwiaty bzu. Kwiaty szczęścia i miłości. Kwiaty te stale przynosił Szeligiewicz, gdy przeprosiwszy ją po owem spotkaniu Łazienkowskiem, przychodzić znów zaczął codziennie.

— Jeśli pani wcześniej ode mnie spotka się z Kluczborską — rzekł ksiądz po chwili — to proszę jej przypomnieć, że przyrzekła zaprosić i mnie także na te wieczory rozmów, jakie w szkole naszej urządza. Czy uczestniczyła pani już w takim wieczorze?

— Jeszcze nie, bo nie odbywały się przez jakiś czas z powodu choroby pani Ponierzyckiej. A wszakże, o ile wiem, malarz Ponierzycki urządza te wieczory.

— Więc dobrze! W takim razie niedługo chyba wypadnie nam czekać.

Nic już na to Helena nie odrzekła; właśnie Walenty zatrzymał konie przed chatą Mrawicowej; podniosła się więc żywo i, odrzucając derkę, wyskoczyła z powozu.

— Dziękuję księdzu proboszczowi i ja za podwiezienie. Dobranoc!

— Dobranoc! A dopuka się tam pani?

— Mam drugi klucz.

— Zaczekam, aż pani wejdzie. Dobranoc!

— Dobranoc!

Helena otworzyła furtkę u ogródka i, minawszy zwirowaną ścieżkę, weszła na ganeczek. Z cieniów wynurzyła się w tej chwili przysadkowata postać Mrawicowej.

— Całuję rączki dobrodziejaszkowi! — wołała Mrawicowa w stronę gościńca, gdzie w księżycowym świetle wyraźnie odcinała się w powozie rośła postać proboszcza.

— Dobry wieczór pani Mrawicowej! A czemuż to się jeszcze nie śpi?

— Koronki odmawiałam, proszę księdza jegomości...

— No... no! Lepiej niech pani Mrawicowa spać się kładzie! Już czas! Dobranoc! Jedź, Walenty — zawołał ksiądz.

Helena wbiegła szybko do swojej stancyjki, by uniknąć rozmowy z Mrawicową, której instynktownie nie znosiła.

Mrawicowa pomrukiwała półgłosem:

— Oho! Już i ta zaczyna włóczyć się po nocy, jak tamta!

Późno w noc Helena świeciła lampę. Pisała list do Przesławskiej. Był to już list drugi, a choć na pierwszy żadnej dotychczas nie otrzymała odpowiedzi, pisała bez urazy. Stało się to zresztą potrzebą jej duszy, dziś zwłaszcza, gdy tyle myślała o Szeligiewicz.

Jakby lody pękały i na rzece przewalały się olbrzymie kry.

Czuje to pękanie lodów i nurt rzeki coraz żywszy i napór gwałtowny, by zrzucić gniotące jarzmo ciężkich, lodowych brył.

Ach, uwolnić serce z tego ucisku!

Świtało, kiedy kończyła pisać.

Była bardzo zmęczona i senna; lecz uklękła jeszcze przy łóżku i zmówiła pacierz.

Dawno już tego nie czyniła.

**DZIEJ SIĘ WOLA TWOJA, JAKO W NIEBIE,
TAK I NA ZIEMI....**

— ...Zdzichu! — jęknęła cicho. — Kocham cię...
Jakby *votum* jakieś składała na ołtarzu...

* * *

Na obszernej werandzie *Szkoły gospodarstwa domowego* zebrała się gromadka na „wieczór rozmów”.

Wszystko spowite tu było mglistem światłem; grały tylko dwie barwy: fioletu i srebra.

Na białej ścianie, biegnącej wzdłuż budynku, wisały rzędem długim małe koszyki z pnąciami roślinna-

mi. Filary, dźwigające strop werandy, ozdobione były w górze galeryjkami. Rosły tam w doniczkach pąsowe szkarlety; przez całą długość poręczy umieszczone były również galeryjki, w których tkwiły skrzynki, pełne powojów i pachnącego groszku. Weranda miała zasuw okienne na sposób japoński. Podczas pogody rozsuwano je, a wówczas otwierał się wspaniały widok na ogród i wieś w oddali z dzwonnica kościoła na wzgórku.

Kluczborska zaprosiła prócz swoich nauczycielek, kierownika miejscowej szkoły ludowej, Adama Znamię i księdza Pogonowskiego. Przyszedł także Nowowiejski. Oczywiście, że braknąć nie mogło obojga Ponierzyckich. Z uczenic wybrano tym razem jako „delegatki” Zarębiankę i jej krewniaczkę, Marynię Dobiównę. (Uczenice miały również własne wieczory rozmów, na które one znowu zapraszały tę, lub ową nauczycielkę).

— Czy według przygotowanego jakiegoś planu odbywają się te wieczory? — zapytała po cichu Helena.

Wisłocka, nauczycielka slöjdu, krępa brunetka z krótko uciętymi włosami i przemiłą twarzą zawsze uśmiechniętej pokojóweczki, odpowiedziała stłumionym głosem:

— Programu się nie układa. Wszystko zależy od nastroju.

— Żadnego przymusu, moi kochani — prosił Ponierzycki. — Mówcie, jak długo macie ochotę powierzać sobie wzajem wasze spostrzeżenia. Milczenie nadejdzie w samą porę i uzyskamy nastrój potrzebny.

— Wątpię, czy uda się panu „wywołać nastrój” —

zauważył sceptycznie Jerzy, który do tej chwili nie odzywał się wcale.

— Nie jesteś dzisiaj w humorze, Jureczku! Zepsuł się w ostatnich dniach twój złoty humor — wtrąciła Wawrzycka. — Inaczej podobałoby ci się to owszem, że wszyscy dziś uśmiechnięci i w pogodnem są usposobieniu.

— Być może! — rzucił krótko Jerzy.

Humor miał istotnie „zepsuty” i to już od kilku dni.

Wbrew oczekiwaniu, Helena okazywała się oporną i nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia, że zmienił taktykę, udając pokornego wasala.

Spotykali się parę razy i rozmawiali z sobą dłużej, bo Jerzy zmierzał do tego konsekwentnie; lecz za każdym razem „przegrywał grę”.

Nazywał to przegraną grą i zdziwiłby się niepomrotnie, gdyby mu ktoś wytłumaczył, że zaczyna serjo kochać się w Helenie.

„Działa mi na zmysły” — powtarzał, ilekroć się spotykali.

Złościł się, miał ochotę mówić najprzykrzejsze rzeczy. Jakieś bezecne wyrazy, brzydkie i złe cisnęły mu się na usta.

Zagryzł teraz wargi i postanowił, że nie odezwie się ani słowem, choćby go nawet sprowokowała.

Była mu przytomną we wszystkim, co robił minionych dni. Lecz stawała mu zawsze przed oczami, jak ta, którą musi zbrutalizować.

To też, widząc ją teraz spokojną i uśmiechniętą, tem więcej się rozdrażnił.

Zaczęli już coś niecoś miarkować wszyscy, którzy zetknęli się bodaj raz jeden „z tą parą zakochanych”.

Parą zakochanych byli przedewszystkiem dla Wawrzyckiej. Ona też pierwsza zwierzyła się z tem Kluczborskiej, i obie niewiasty, choć nie robiły plotek, ale spojrzeniem, gestem, to znów jakąś uwagą, rzucaną niby od niechcienia, sprawiły to, że w nieuchwytny na razie sposób otoczyła Jerzego i Helenę misterna sieć swatostwa.

Może więc dlatego ten dzisiejszy „wieczór rozmów” zaczynał się jakoś opornie.

Nagle ktoś zauważył, że zleciał liść z drzewa.

— Jakże przedwcześnie umiera — szepnęła Szczepanowska.

Wawrzycka rzekła:

— Człowiek umiera okrutniej. Jego śmierć okrutniejsza jest od śmierci kwiatu.

— Nie może być inaczej — podjęła Kluczborska. — Im doskonalsze stworzenie, tem straszniejszą i okrutniejszą wydaje się jego śmierć. Zwiędły kwiat nie wywiera tej grozy, co powalone burzą drzewo. Przykrzejszy też widok budzi ptaszę, które żyć przestało. A uczucie to bywa o wiele straszniejsze, gdy widzimy umierające zwierzę. Cóż więc dziwnego, że najwięcej litości i grozy budzi umierający człowiek.

— Mnie często dręczy myśl, co staje się z duszą człowieka po śmierci — wtrąciła nieśmiało Dobijówna.

— Czytałam wiele książek, traktujących o tem, że śmierć ciała nie jest śmiercią duszy — rzekła Szczepanowska. — Zaczynam też coraz mocniej utwierdzać się w przekonaniu o życiu pozagrobowym.

— Czy dlatego, że przeczytała pani o tem w książkach? — zapytał ksiądz Pogonowski.

— W książkach znalazłam naukowe uzasadnienie tego, co przeczuwałam, i w co mi wierzyć nakazuje nasz Kościół.

— Ach... tak!... Bo inaczej nie dałbym pani rozgrzeszenia — wtrącił ksiądz.

— Wyobrażenia moje o nieśmiertelności duszy były przecież nieuchwytną abstrakcją. Raz sądziłam, że otaczające nas duchy, to nic innego, jak emanacja, pozostała po życiu całych pokoleń podczas ich wędrówki tu na ziemi. Ich gesty, ruchy, wypowiedane słowa, wreszcie czyny, podchwyczone zostały przez siłę energetyczną, jaka jest w powietrzu. Na falach powietrza płynie to wszystko wciąż poprzez bezmiar przestrzeni i czasu. Jeśli o czemś pomyślałam, co wydawało mi się, jakby myślą nie moją, wówczas powiedziałam sobie, że to przyplotnęła ku mnie myśl z zaświatów. Gdy mrużąc oczy, patrzyłam na to, jak w powietrzu rozedrganem od zachodzących promieni słonecznych, mirjady molekul w nieustannym są ruchu, pomyślałam znowu: Oto tworzą się nowe światy i światy całe giną. Ciągłe ścierają się we wszechświecie dwie potęgi: miłość i nienawiść. Życie i śmierć. I biegły moje myśli gdzieś w dale nieuchwytnie. Nie byłam w stanie skryształizować żadnej z tych myśli w jakąś teorię, ale czułam wielką błogość. Niebiański spokój wsączał się w moją duszę. Nie wątpiłam już, że życie człowieka jak najściślej związane jest z życiem wszechświata; a więc śmierć nasza to tylko przejście w nową formę życia; nie ginie człowiek, bo nic w wszechświecie nie ginie. Tak myśląc i czując, nie

wyszłam jeszcze poza krąg materialistycznego pojmowania świata. To dalsze życie człowieka, jego cząstek fizycznych, które wsiąkają w ziemię i powietrze, nie zadowalało mnie długo. To przecie nie jest nieśmiertelność duszy, pomyślałam po głębszej rozwadze. O życiu duchów dowiedziałam się dopiero z książek okkultystycznych. Radość moja była wielka, gdy uświadomić sobie mogłam, że życie duchów, życie zagrobowe, poddane zostało ciągłym badaniom ludzi światłych, ludzi głęboko uczonych; że rozszerza się ciągle i pogłębia coraz bardziej ta wiedza o życiu zagrobowem...

Szczepanowska przestała mówić i zrobiła się taka cisza, że słyhać można było szmer opadającej rosy.

— Może nie należało tego powiedzieć? — zapytała po chwili Szczepanowska, zwracając się do księdza Pogonowskiego.

Ksiądz Pogonowski odchrząknął.

— Bardzo was przepraszam, moi drodzy! — w żartobliwym zaczął tonie. — Nie chciałbym tu nikogo krępować w wypowiedaniu poglądów o życiu i śmierci, chociażem ksiądz. To, co tu słyszałem przed chwilą, podoba mi się owszem, pomimo, że jako sługa Kościoła, powinienbym skarcić moją penitentkę, gdy się dowiaduję, z jakich to źródeł, boć nie z katechizmu i świętej ewangelji, czerpie pociechę i wiarę w nieśmiertelność duszy. Lecz wlażem tu między was, jak Piłat w credo. Trzeba więc, byście i wy, i ja także z wami, byśmy wspólnie wyobrazić sobie mogli, że tu siedzi teraz nie ksiądz proboszcz, a człowiek świecki. Wszakże jedno jeszcze chciałbym wtrącić. Oto, że wiara Chrystusowa wcześniej jeszcze od okkultystów,

głosiła nadzieję życia zagrobowego. Powiedziałem też zostało w świętych ewangeljach, że dobro przyciąga dobro, a zło, zło rodzi. To jest niebo i piekło, które sobie człowiek gotuje swymi uczynkami. O tem, że wszystko na Bożym świecie połączone jest nieskończonym życiem, poucza także Kościół katolicki. Wszelako nie nakazuję, byście tylko wierzyli temu, w co wierzyć nakazuje nasza święta wiara. Bóg dał człowiekowi rozum do dociekań filozoficznych. I Kościół miał i ma swoich znakomitych filozofów. Filozofem był św. Franciszek z Asyżu i św. Tomasz z Akwinu. Filozofami byli już św. Paweł i św. Jan. Jeśli złożoną została w duszy człowieka ta chęć do wiedzy i do badań tajemnic życia i śmierci, nie będę tym, który was potępi nawet w takim wypadku, gdyby te dociekania odwrócić was miały na jakiś czas od niektórych dogmatów naszej świętej wiary. Będę tylko ubolewał i nad tem cierpieć.

— Księżę dobrodzieju — wtrąciła Kluczborska. — Zapewniam księdza proboszcza, że nasze rozmowy umacniają nas owszem w wierze katolickiej. Mówiąc o życiu zagrobowem, oczywiście, że idziemy raczej śladami okkultystycznej wiedzy; przyznaję, że sama zabrnęłam w gąszcz okultyzmu i czuję się tam bardzo dobrze. Więc też rada widzę, gdy moje nauczycielki, a nawet niektóre z uczenic naszej szkoły, jak Zarębianka i Dobijówna, okazują pewną ciekawość do zbadania tej „tajemnej” nauki. Ostrzegałam od pierwszej chwili i ostrzegam w dalszym ciągu przed szarlatanerją i maniactwem, a wskazuję na to, co w tej wiedzy jest dobre i piękne. Czemuż nie dążyć do szukania prawdy? Czemuż nie czerpać wiedzy u źró-

deł, jakie nam są dostępne? Człowiek myślący chce wiedzieć dlaczego żyje. Dlaczego musi umrzeć i co się z nim stanie po śmierci. Więc szuka prawdy w księgach filozofów. A czyż więcej dla duszy i serca da nam racjonalizm Kanta, pesymizm Schopenhauera, albo indywidualizm Nietschego?

Ksiądz nic na to nie odrzekł. Lecz zamierzał skierować rozmowę na inne tory i zwrócił się do Zarebianki z zapytaniem:

— Co słyhać w sprawie ochrony dla dzieci? — Kiedyż zwołujecie posiedzenie gromadzkie? — dodał.

— W najbliższą niedzielę, to jest za cztery dni. I ksiądz otrzyma zaproszenie. A należy przyjść koniecznie! — zawołała Jadwiśka.

— Owszem! Owszem! Nawet gorąco sprawę tę popierać będę. Ale nie wiem, czy to uczynią inni. Dopiero *Dom Ludowy* wystawili, zadłużając się znacznie. Na odrestaurowanie szkoły musieli także sypnąć groszem. Nie pójdzie teraz tak łatwo namówić gospodarzy do tak znacznego wydatku.

— A ja myślę, że mi się uda! Przrzekłam, że ochronka będzie, to będzie! Musi być! Za łeb wezmę wszystkich, a dzieciśka nasze muszą mieć ochronkę. A nie zechcą starsi we wsi, to my, uczennice naszej szkoły, zostaniemy opiekunkami ochronki.

— Tak by było jeszcze najlepiej! — zauważył ksiądz.

— Tatulo mojego narzeczonego już mi przrzekli, że oddadzą na ochronkę jedną stancję w Urzędzie gminnym.

— A to wspaniale!

— To byłoby dla dziewczątek. A dla chłopców umyśliłam znaleźć lokację na plebanji, u księdza dobrodzieja.

— Co też pani powiada?!... Więc mam się spodziewać rekwizycji?

— I to bardzo rychło, bo jeszcze w tym miesiącu ochronkę otwieram.

— Taka pani pewna swego? Widać, kiej Zarębianka czegoś chce, stać się to musi. Będę i ja musiał ustąpić z izby!

— Zostanie ich księdzu proboszczowi jeszcze cztery!

— To prawda!... Zatem ma pani moje przyrzeczenie. Tylko czy wyższa władza na to się zgodzi?...

— Wyślemy delegację!

— Ale z panią na czele, panno Jadwisiu! — zawołał Ponierzycki.

— A juści, że i ja pojedę. Niechby tylko kanonik spróbował odmówić!

— Do biskupa z tem trzeba będzie pójść!

— Wielka rzecz! I do biskupa trafię!

Wmieszał się do rozmowy milczący dotąd Znamięłło.

— Może wrócimy do przerwane go wykładu? — zapytał z nieśmiałością wielką.

— Ależ to nie był wykład — zaprzeczyła Szczepanowska. — Sprowadzić tylko chciałam rozmowę na temat o duszy i o duchach.

— Zdaje mi się, że już dzisiejszego wieczoru trudno będzie o nastrój — zauważył Ponierzycki.

— A cóż to? Czy tylko w transie prowadzicie te wasze wieczory rozmów? — rzucił drwiąco Jerzy.

Ponierzycki nie obraził się wcale, choć nadto może nerwowym był ruch ręki, z jakim odgarnął teraz z czoła rozwichrzone włosy. Zadrgały też powieki parę razy, a z niebieskich, łagodnych zazwyczaj oczu, błysnęło ironiczne spojrzenie. Gładząc potem palcami jasną brodę, mówił już spokojnym głosem:

— Każda niebanalna rozmowa naszej gromadki wytwarza nastrój, który wprowadza nas bezwiednie w ów stan, zbliżony do transu.

— Pan dąży do tego celowo i przygotowuje nastrój — drwił Jerzy.

— Nie przeczę.

— Magnetyzer!...

— Jeśli pan tak nazwać to zechce...

— Zatem są tu dzisiaj w gromadce waszej duchy oporne i dlatego trans się nie udał — drwił Jerzy w dalszym ciągu.

Nikt się nie odezwał; nie podjęto rzuconej rękawicy, więc podniecony już, zaczął mówić:

— Przyznaję, że jestem sceptycznie usposobiony wobec duchów, które żyją życiem zagrobowem. Przekonanie moje w tej kwestji jest takie: Życie owych duchów, to nic innego, tylko promieniowanie naszych myśli w stronę tego, lub owego „ducha”. „Duchy” zjawiają się w widzeniach sennych, gdy nasze myśli i uczucia zmaterializowały się w jakąś wizję. Wirujące stoliki porusza również utajona w nas energja, a nie energja „duchów”.

— Ach, pan jesteś ignorantem w dziedzinie nauk spirytystycznych! — zawołał Ponierzycki, a chuda jego twarz z charakterystycznym długim nosem, zadrgała nerwowo.

— Za pozwoleniem! — wtrąciła Kluczborska. — Pan Znamięło prosił mię przed chwilą, że chciałby coś powiedzieć o duchach.

— Bardzo prosimy! — zawołały równocześnie Szczepanowska i Zarębianka.

Z kąta odezwał się cichy głos nauczyciela:

— Może to będzie niebardzo mądre, co tu powiem. Chciałbym tylko przytoczyć coś dla przykładu...

— Owszem!... Bardzo prosimy — zachęcał Ponie-
rzycki, rad temu, że można będzie przeciąć niemiłą
dyskusję.

Znamięło opowiadał:

— Miałem dawniej zwyczaj stawać zimą przy
piecu i grzać się. Przed rokiem śni mi się raz po raz,
przez trzy noce z rzędu, nieboszczyk mój ojciec i po-
wiada: „Nie stój przy piecu, bo będzie nieszczęście”.
Niepomny przestrogi, znowu podług zwyczaju, zbliży-
łem się nazajutrz do pieca i wygrzewałem plecy.
Wtem uczułem wyraźnie jakiś powiew, jakby mnie coś
musnęło po twarzy. I nagle przypomniałem sobie, że
w sieni zostawił siekierę i że trzeba ją stamtąd zabrać,
bo gotów ktoś ukraść. Poszedłem po siekierę. A le-
dwiem próg stancji przestąpił, usłyszałem łomot
i trzask. To piec eksplodował.

Nauczyciel umilkł wzruszony.

— Odtąd już się pan nie grzeje przy piecu! —
zadrwił Jerzy. — Naturalnie, że mogę to tylko po-
chwalić. Ale nie przekonałeś mię pan swoją historją
o życiu zagrobem. To, co pan słyszałeś rzekomo od
ducha nieboszczyka ojca, to były własne pana re-
fleksje, że to niezdrowo grzać się tak przy piecu. My-
śli pana promieniowały w takiej właśnie formie.

— Słuchaj Jureczku! — wtrąciła Wawrzycka. — Jak wiesz, nie należę do osób zabobonnych. Ale wierzę w życie zagrobowe, bo już tą wiarą natchnęła mnie nauka naszego Kościoła, zanim jeszcze czytywać zaczęłam książki, traktujące o okultyzmie. Otóż przypomnij sobie Jureczku, że nikt, choćby to był największy ateusz i szyderca, nie odważy się przy umiarkowanym mówić na głos. A i przy zmarłych, czy nie stąpamy po cichu, szeptem tylko mówiąc, jakbyśmy lękali się obudzić ich? Mamy wrażenie, że dusza zmarłego unosi się w pobliżu, że słyszy nasze słowa.

— Ależ ciociu! To oddziedziczony lęk przed śmiercią i wpojone w nas uczucie, że śmierć, to coś majestatycznego!

— Nie, Jureczku! To, co odczuwamy przy zmarłych, jest intuicyjnie przez nas pojętą wiarą o nieśmiertelności człowieka, o życiu duszy po śmierci ciała. Fizyczne ciało leży na marach, ale ciało eteryczne krąży w pobliżu i rozpyla się niejako w powietrzu, które wchłania zeń cząstkę po cząstce.

— Znane bajki, ciociu! Bajki o duszy fizycznej, eterycznej i astralnej. Bajki modne teraz, choć starsze jeszcze od filozofji starożytnych Greków. Bajały już o tem ludy pierwotne, a starożytni Hindusi ujęli to w system filozoficzny. Anglja wprowadziła do Europy literaturę i filozofję starych Hindusów i pierwsza obwieściła nową rzekomo naukę o okultyzmie.

— Dobrze, Jureczku! Wiem przecie o tych rzeczach. Czy to jednak ubliża okultystom, że kroczą śladami starej, pięknej filozofji Hindusów? Powtórzę słowa naszej zacnej kierowniczki: Czyż nie jest

piękniejszą ta nauka od racjonalizmu Kanta, pesymizmu Schopenhauera, indywidualizmu Nietschego?

— Romantyczną jest ta filozofja starych Hindusów i prowadzi do tęsknoty za nirwaną. Zabija energję do walki z życiem. Gdy przeciwnie, wiedza Kanta, Schopenhauera, a nawet Nietschego, pchnęła intelekt tyłu społeczeństw do coraz większych wysiłków mózgu...

— I cóż z tego wysiłku mózgów, Jureczku? Zwyciężyła materja, a nie duch. Okropności tej wielkiej wojny wykazały jak problematyczne są zdobycze wiedzy materialistycznej. Pchnęła ta wiedza ludzkość w zawrotny wir, z którego po tylu latach walki wydobyć się nie może.

— Słuszne to! Bardzo prawdziwe! — przytakiwał Ponierzycki.

Jerzy nie dał za wygraną. Chciał osłabić wrażenie słów, wypowiedzianych przez Wawrzycką i stanął w obronie wojny. Dowodził, że wojna jest koniecznością dziejową dla sprowadzenia zmian, bez których ewolucja społeczeństw doznałaby zatamowania.

— W zużytą krew starej burżuazji — tak kończył swoje dowodzenia — wprowadzoną teraz zostanie zdrowa, nieużyta krew nowych ludzi. Ona, ta nowa burżuazja, jeszcze dziś śmieszna, lub łotrowska, ale już za lat trzydzieści wydać może z pośród siebie najzdolniejszych polityków, uczonych, artystów i tak dalej, podczas gdy stara inteligencja zdegeneruje się jeszcze bardziej.

Jerzy umilkł, ale rozpętał tak ożywioną dyskusję, że w niwecz poszły wszystkie estetyczne przygotowania Ponierzyckiego.

A jednak, gdy około północy rozstawała się gromadka, by pójść na spoczynek, przyklasnął i on słowom Kluczborskiej, która na dobranoc rzekła żartobliwie:

— Ten wieczór rozmów przyczynił się do wyładowania nagromadzonej nadwyżki energji mózgowej, tej nadwyżki, która, gdy jej się nie wydzieli, naciska w sposób niekorzystny na normalną sprawność mózgu. Sądzę, że to nam wszystkim wyjdzie na zdrowie.

Rozeszli się w najlepszej zgodzie.

Jerzy usiłował wciągnąć do rozmowy Helenę, która jakoś dziwnie milcząca była tego wieczoru. Nie udało mu się to, ale zadowolony był, że w jej obecności mógł się popisać erudycją i temperamentem.

„Będzie musiała myśleć o mnie tej nocy”.

Tak więc i on, największy opozycjonista, zadowolony był z tego wieczoru rozmów.

* * *

Jak przyrzekła to Zarębiance, wyszła Helena w oznaczonej godzinie na gościniec, by oczekiwać jej powrotu ze zgromadzenia gminnego.

(Obrady rozpoczęły się po niesporach i miały trwać niedługo).

Słońce już się skryło. Od lasu i pól zbliżał się szary mrok; ale na gościńcu i wśród chałup, błakał się jeszcze odbłask promieni, tych samych, które opalizowały teraz bardzo silnie na nieboskłonie.

Wzdłuż gościńca, jak okiem sięgnąć, nikogo. Tylko na miedzy, daleko wzdłuż zagonów, które biegły aż hen, do lasu, poruszały się jakieś postacie.

Zboczyła z gościńca na drogę wiejską i czas jakiś szła między opłotkami.

— Niech będzie pochwalony! — pozdrawiano ją od progów chat.

Starsi, młodszy, dzieci.

Bywało, gwarzyli z sobą nieraz to w polu przy robocie, to przy spotkaniu na drodze, to na kursach wieczornych w szkole, albo w dni niedzielne, w progach chaty, lub przed kościołem.

Przystawała teraz tu i ówdzie i jęła wypytywać o ich troski.

Najdłużej zatrzymała się przed chatą kowala Sołohuby. Ich córka uczyła się w szkole gospodarstwa domowego, młodsze dzieci dopraszały się zawsze jakiejś nowej bajki, odkąd raz zabrała do swej izdebki gromadkę wałęsających się dzieciaków i zaczęła opowiadać im jedną bajkę po drugiej.

Teraz przeprosiła, że musi iść dalej.

Minęła biały domek, gdzie mieścił się posterunek policji, i weszła na most. Tu się zatrzymała. Łożysko rzeki szerokie, pełne kamieni, wskazywało na to, że żywioł wody potrafi tu być bardzo groźny w czasie wylewów.

Za mostem, nad rzeką, widać było dom wójtowy. Słońce zostawiło tam tęczowe blaski, które teraz dopiero gasły powoli. W pobliżu jednego z okien, wisiała duża, czerwona tarcza z białym orłem; tam był urząd gminny. Pod oknem rosły niskopiennie, bujne krzaki róż, osypane różowem kwieciem. Ich zapach niósł się daleko. Z rozkoszą wchłaniała ich woń intensywną.

W ogrodzie, w sadzie i na werandzie, mnóstwo było ludzi. Przed paru dniami wrócił do domu urlopo-

wany z wojska młodszy syn wójtów, narzeczony Zarębianki, i z tej okazji odbywało się u nich dzisiaj przyjęcie dla familantów i przyjaciół.

Naraz zobaczyła wychodzących wiecowników, a wśród nich księdza Pogonowskiego i Kluczborską. Za chwilę ukazali się: Jadwiśka Zarębianka i Ponieżycki.

Zaczekała aż się zbliżą.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — przywitała księdza Pogonowskiego.

A ksiądz zapytał filuternie:

— Pani zapewne winszować nam chce zwycięstwa?

— Jakto? Czyżby sprawa upadła? — spytała, błędąc.

— Owszem!... Owszem!... Nasza Jadwiśka zwyciężyła — rzekła łagodnie Kluczborska, a zwiędła jej twarz, okolona pasmami siwych włosów, na które zarzucony miała czarny szal koronkowy, rozjaśniła się uśmiechem szczęścia.

Przechodzili radni, pozdrawiając. Jedni z głupkowatą miną, choć w oczach czaiła się chytrłość; inni z obliczami senatorów, poważni, skupieni w sobie.

— I cóż? Zadowoleni jesteście, że dzieci wasze będą miały ochronkę? — zwrócił się do nich ksiądz Pogonowski.

— Niby tak!... Ale cóż, kiej znowu trza będzie dawać pieniądze!

— Aha! A wy byście ino brać chcieli! — odparł ksiądz wesoło.

— Zobaczysz się, co z tego będzie! — mówił drugi. A trzeci, kryjąc chytre spojrzenie, dodał:

— Przegłosowali bogacze! Niechże oni płacą! My i tak pieniędzy nie domy, bo nie mamy ich zawiele!

Tamci, z obliczami senatorów, nic nie rzekli. W milczeniu uchylili kapeluszy i poszli dalej.

Jadwiśki twarz promieniała.

— A co? Powiedziałam, że ochronka będzie i tak też być musi! Zwycięża, kto ma silną wolę.

— Zwycięża, kto ma bogatego tatusia! — przekomarzać się z nią zaczął Ponierzycki.

— Niby tatulo mojego narzeczonego! — poprawiła Jadwiśka. — Ma się rozumieć, że oni wiele mi pomogli. Lecz miałam za sobą większość. Czyż nie tak, księżę proboszczu?

— To znaczy, że urobiła pani tę większość, by głosowali na ochronkę.

— Eee!... Nie dokuczajcie mi, lecz radujcie się razem ze mną!

— A czy przypuszcza pani, że nie cieszymy się wszyscy, jak tu jesteśmy? — zapytał Ponierzycki.

Kluczborska oświadczyła, że musi wracać do zakładu; zostawiła tam bowiem gości, którzy do niej na niedzielę z miasta przyjechali.

Zwróciła się do Zarębianki.

— Przepraszam tatulę i przyszłą świekrę, że nie została się z nimi...

— Cóż robić, kiej nie można inaczej — rzekła Jadwiśka, całując ją w rękę.

— Odprowadzimy jeszcze panią dyrektorkę kawalczek drogi — wtrącił Ponierzycki.

Kluczborska zaprotestowała.

— Dziękuję wam, moi drodzy, ale już dosyć było

i tego odprowadzania do mostu. Wracajcie, bo tam na was czekają.

— To prawda, że gotowi obrazić się, gdy zaraz nie wrócimy — rzekł ksiądz Pogonowski.

— Aha! Śpieszy się księdzu do tłustej szyneczki i kołaczy, które przygotowała pani wójtowa! — przekomarzał się malarz.

— Ano, cóż innego, prócz dobrego jedzenia, ma proboszcz na tłustej parafji — westchnął z robioną pokorą ksiądz Pogonowski.

Rozśmieli się wszyscy.

— Panna Waligórska idzie z nami — rzekła Zarebianka.

Helena zaczęła się wymawiać, ale wkońcu uległa.

Kluczborska skierowała kroki w stronę zakładu, a oni zawrócili nad rzekę, do domu wójtowego.

Niewiele już na razie dopytać się mogła Helena o tę ochronkę, bo należało przywitać familję i gości wójtowych, którzy stali przed domem.

Weszli do dużej izby, o ścianach malowanych podobną szablonu w jakieś zielone róże, czy piwonje. Na środku stał długi stół, nakryty białym obrusem i zastawiony obficie jedzeniem. Dokoła stołu, na ławach i krzesłach, zajęli miejsca co najprzedniejsi familjanci i sproszeni goście. Zostawiono tylko parę honorowych miejsc wolnych, które też zaraz wskazano księdzu, Helenie i Ponierzyckiemu.

Jadwiśka stanęła za krzesłem Heleny i szepnęła jej na ucho:

— Za niedługą chwilę porwiemy stąd panią. Przedstawię pani mojego narzeczonego...

W sąsiedniej stancji, za sienią, do której drzwi stały na oścież otworem, zebrała się setka osób. Pod oknem siedzieli muzykanci. Szykowano się do tańców, a widać uporali się już z jedzeniem, bo właśnie młodzież wynosiła stamtąd stoły do sieni.

Wójtowa, ubrana po miejsku, w granatową welwetową spódnicę i czerwoną, jedwabną bluzkę, nosiła wyrurkowaną fryzurę i przyprowadzony warkocz, spięty grzebieniem i szpilkami, które świeciły się powprawianymi szkiełkami. Kobiecina czterdziestokilkuletnia okazałych kształtów, ze śladami przekwitającej urody, wyglądała arcypociesznie w tym stroju. Z przykrością wielką zauważyła Helena, że prawie wszyscy familjanci i goście, z małymi tylko wyjątkami, ubrani są po miejsku i, że to ubranie wygląda na nich jak najgorzej. Zarówno ściany izby, ohydnie pomalowane, jak te szaty miejskie, źle uszyte i nieumiejętnie noszone, całe to urządzenie nowe, a liche, razem z niezliczoną ilością widokówek i fotografii, wetkniętych w japońskie niby wachlarzyki i parawaniki, wszystko to mówiło aż nadto wyraźnie, że ci nowi bogacze wiejscy usiłują *coute que coute* zatrzeć za sobą ślady swego stanu i stworzyć stan nowy.

— Jakże się tu pani u nas widzi? — rozpoczęła „dyskurs” wójtowa. — Już nie po wsiowsku, a jakże!... Więc może się pani lepiej spodoba?

— Szkoda, że nie po wiejsku — poprawiła Helena.

— Niby, jak to pani myśli?... Przecie nie z gnojówką przed progiem? — obraziła się wójtowa.

— Ach, nie! Ale widzi pani... ja to tak rozumiem...

Helena zaczęła mówić o zachowaniu stylu rodzimego; o tem, jak mieszkają chłopci skandynawscy, tyrolscy i szwajcarscy; jak powinienby się u nas, w Polsce, utrzymać styl polski, ludowy.

Wójtowa słuchała uważnie.

— Mówi pani akurat, jak nasza Jadwiśka. Ot, przewrócone mocie w głowie! To ten malorz takie wom bzdury opowiada i tak wos uczy. Toli już moja starszo synowa także zwarjowała i jakoweś „zakopiańskie” meble sobie posprowadzała. Jadwiśka nosem kręci na te nasze graty. Zaś niech tam! Dło nos, starych, wystarczy do końca życia. A oni, młodzi, niech se już na swoje gospodarstwo inne meble szykują. Jo i mój stary i moje córki w tych nowych meblach gustujemy i nom się one podobają.

— A więc ma pani jeszcze dzieci prócz tego syna?

— Chwalić Boga! Jest ich kilkoro. Starszy syn werkmistrzem teraz został w fabryce i nawet nie potrzebowałby tej roboty, bo ożenił się z bogaczką, a mój stary wydzielił mu trochę gruntu. Ale on nie pohopny do wiejskiego gospodarstwa, a żona jego też więcej na miastową panią patrzy. Mają swój dom obok domu pana Ponierzyckiego i w wielkiej przyjaźni z nimi żyją. Starszo córka wydana jest za sierżantem. On przy tutejszym posterunku policji służy. Pewnie w ogrodzie się zabawiają, bo i Ponierzyckiej tu nie widzę. Ale pokażę pani zaraz moją najmłodszą...

Kiwnęła na krzątającą się w pobliżu dziewczynę i zawołała:

— Zośka! A chodźże haw!

Dziewczyna przybiegła w ten moment.

Wójtowa poprawiła na niej biały kołnierz, zdo-
biący sukienkę z żółtej krepy w różowe kwiatuszki,
zaczem córkę zaprezentowała Helenie.

— Ukłóńże się pięknie i w rękę pocałuj, bo to
profesorka ze szkoły — przykazywała.

Dziewczyna zarumieniła się gwałtownie i widać
było, że waha się ze spełnieniem rozkazu.

Helena uprzedziła ją szybkim ruchem. Objęła
dziewczynkę i pocałowała w zarumienione policzki.

— Śliczna jesteś, panno Zosiu! — rzekła, patrząc
z upodobaniem w bławatowe oczy dziewczęcia, której
uroda była raczej urokiem młodości.

Dziewczyna dygnęła, nie wiedząc, co odpowie-
dzieć.

— Czemuż panna Zosia nie tańczy? — zapytała
Helena.

— Trza gości obsłużyć. Może podać pani piwo?
Świeżą beczkę nabili...

I nie czekając odpowiedzi, pofrunęła do drzwi,
hyża, jak wiewiórka.

— I cóż? Ładna dziewczucha i na miastową pannę
patrzy — z ukontentowaniem zaczęła znów pani wój-
towa.

Wnet atoli zmiarkowawszy, że inni także radziby
z Heleną porozmawiać, przedstawiła jej dwie krew-
niaczki, oraz żonę stryjecznego brata Jadwiśki.

Nie przestając jeść, do czego niewoliły ją wszyst-
kie naraz niewiasty, próbowała Helena prowadzić roz-
mowę „przez stół”, to znów „na prawo” i „na lewo”.
Przysiadła się też raz tu, to tam, by nie uchybić niko-
mu i z każdą niewiastą coś niecoś pogwarzyć.

Do mężczyzn się nie zbliżała, znając już etykietę wiejską.

— Bardzo jakoś godna osoba — zauważył wójt, zwrócony do księdza Pogonowskiego, i wskazał oczami Helenę.

Wygolona, bezwasa twarz jego, wyrażała wielką stanowczość i chytrość, prawie lisią. Ubrany w mieszczańską czamarę, krojem przypominającą modę roku 63, budzić mógł owszem duży respekt i nie mało sympatji, zwłaszcza, że umiał się przymilić, a orator z niego był niebylejaki.

W pewnej chwili wbiegła Jadwiśka i uprowadziła Helenę.

Długa weranda otaczała z frontu dom wójtowy. Siedziało tam liczne towarzystwo. Jedni, pijąc piwo, gawędzili spokojnie, drudzy, już roznamiętnieni, grali w karty od samego południa. A byli i tacy, którzy przystanawszy tu i ówdzie grupkami po dwóch, lub po trzech, dyskutowali zawzięcie o polityce.

Niektórzy wyszli na ogród i do sadu, raczyć się tam czereśniami, które bez ceremonji zrywano z drzew. Tam przeważały głównie dziewczęta.

Helena wodziła dokoła zaciekawionemi oczami, a Jadwiśka dawała objaśnienia: kto z kim siedzi; to znów kto z kim rozmawia, czy to familjant, czy przyjaciel, a wreszcie tylko taki, co przyszedł dla wypitki i jedzenia.

— A otóż stoi tam mój narzeczonny! — zawołała, wskazując żołnierza w błękitnym mundurze Hallerczyków.

Błękitny Hallerczyk właśnie zeskoczył z drzewa,

unosząc jako zdobycz, pełny koszyk czerwonych cereśni.

Otoczyła go wnet gromadka dziewcząt i, niby stadko rozświergotanych wróbli, rzuciły się na koszyk z cereśniami.

On zaś wysoko, coraz wyżej podnosił zaczepioną zdobycz, a drugim ramieniem, ile tylko mógł, oganiał się gromadce.

— To dla nas! Dla nas! — wołały dziewczęta.

— To dla Jadwiśki! Dla mojej Jadwiśki! — bronił się Hallerczyk.

Jadwiśka klasnęła w dłonie i z rozpostartymi ramionami, jak gołąb leciała w tamtą stronę. Porwała Hallerczyka i przedstawiła go Helenie.

Błękitny Hallerczyk pocałował ją w rękę, dziękując za to, że przyszła.

Uczynił to z dworską grzecznością, która miała w sobie urok... antycznego ceremonjału. Kiedy następnie wciągnęli ją w zabawę, wydawało się Helenie, że przeniesioną została w odległe wieki do dworku szlacheckiego.

Mijały godziny. Gdzieś w oddali, na wieży kościoła wybiła północ, a w ton zegara wpadł odgłos rogu stróża nocnego.

Goście zaczęli się rozchodzić. Ksiądz Pogonowski wstał prawie ostatni od stołu.

— Zasiedziałem się i ja przy kufelku — rzekł. — Zły przykład dałem gromadzie. Pomyślą, żem pijaczyna i obżartuch.

— Żeby ino nic gorszego! — zawołała wójtowa.

— A cóż gorszego? — spytał ksiądz, zakładając ręce na wydatnem łonie.

— Niby tak się ino rzekło dla przysłowia, księżę dobrodzieju.

— Myrgnie krowa ogonem i cały skopiec mleka wyleje. Tak i baba. Językiem ruszy i coś takiego powie, że najlepszego i najdostojniejszego gościa obrazi, choć przed chwilą nieba by mu przychyliła — wtrącił wójt.

Żegnano się dość długo, wreszcie rozstali się.

Ksiądz proboszcz i Ponierzycki z żoną poszli przodem; a za nimi ruszyły Helena i Jadwiśka. Błękitny Hallerczyk odprowadzał narzeczoną i oboje wzięli się za ręce, jak dzieci. Na końcu szły dziewczęta, które mieszkały w zakładzie.

— Opowiadaj nam Janku o tych krajach, coś je oglądał; o tych ludziach, z którymi żyłeś — prosiła Jadwiśka narzeczonego.

Hallerczyk zaczął opowiadać.

Była to odyseja legionisty polskiego, którego przemoc wtłoczyła w mundur wrogiej monarchji. Musiał przejść przez całe piekło ohydy, zanim z niewolnika przedzierżgnął się w żołnierza, walczącego o niepodległość Polski pod własnym już sztandarem i pod wodzą własnego brygadiera.

Helena słuchała z zapartym tchem. Chwilami serce jej uderzało gwałtownie, przenikał ją dreszcz zimny, to znów rozpalala się w niej krew.

— Ale jest nareszcie wolna ta nasza Ojczyzna miła! — zawołał Hallerczyk, podnosząc dłoń ku gwiazdom, jakby zaświaty wzywał na świadectwo dopełnionego cudu.

Siedziała w swojej izbie i pracowała.

Nie łatwa to robota i dosyć żmudna. Odpisywała „Odpowiedzi” na „Kartki z pytaniami”.

Podczas każdej lekcji otrzymywała kilka, często po kilkanaście takich kartek. Pod pytaniem mieściło się imię i nazwisko uczenicy.

Pisząc odpowiedź, musiała pilnie uważać dla kogo ją przeznacza i wymienić w nagłówku odpowiednie nazwisko.

Zdarzało się, że dla niektórych odpowiedzi trzeba było sięgnąć do encyklopedji, a wówczas uzupełniała tę domową pracę w kancelarji zakładu, gdzie znajdowały się potrzebne podręczniki.

Praca ta, pomimo że wyczerpująca, sprawiała jej dużą przyjemność. Ze słów, kreślonych ciężką ręką wiejskich dziewcząt, wyzierała często myśl, niezwykle głęboka.

Zawsze też przy tej pracy myślała o Przesławskiej. Donosiła jej o tem w liście, który leżał jeszcze na stole.

Przyzywam Was Marjo myślą, wyteżoną do siły już nie wiem ilu wolt. Dziwię się, że nie zatrząśł się jeszcze dom, w którym mieszkacie, że nie słyszycie i nie odzywacie się, gdy wołam, byście przyjechała.

Za oknami słońce pieści żarem i pachną kwiaty aż do oszołomienia, a ja siedzę w moim biednym pokoiku, bo mam huk roboty. Zapłakałabym się na pewno, nie wiedząc, czy wydołam; ale w takich chwilach zaczynam myśleć o Was, Marjo. A wtedy stajeście przy mnie. Mam takie wra-